

EDWARD REDLIŃSKI

AWANS

Ech, te nasze rzeki nizinne... Gnuśne, powolne. Lada jak płynące, na oślep. Po chłopsku. Byle przed siebie. Ot, rozwalić się na topielisku, powy-grzewać w szuwarach... Zatoczyć się w lewo... i jeszcze w lewo... Powąłkonić na szerokiej płyciźnie. Obalić się w prawo... Na zastoisku podumać, w ciszy, nieruchomej, rozparzonej. Na mokrym liściu żaba śpi. Na gałęzi wrona ziewa. Łoś moknie w tatarakach - kajak zoczywszy, nie ucieka - pogapi się chwilę i czochra się dalej o wierzbę. Nawet ryby, nawet one ledwo, ledwo przeginają się na nurcie. Spokój, bezwład, lenistwo - tylko ja i mój kajak czegoś tu chcemy, do czegoś dążymy, przebijamy się dokądś skroś oczerety, bluszcze, żabią rzęsę...

Wiedziałem, że droga nie będzie łatwa, że lasy są półdzikie, nie trzebione. Ale takiej pierwotności, takiej dziczy nie przewidywałem! Sądziłem, że dobrnę do celu przed południem. Tymczasem... Słońce pokonało już trzy czwarte swej dziennej marszruty, zjeżdża ku zachodowi, moje wiosło pluska miarowo to z lewa, to z prawa, ale cóż z tego. Sto zakrętów minąłeś, sto topielisk przebrnąłeś - I oto dąb wyniosły znowu zielenieje, jak zieleniał przed tobą godzinę temu, tyle że już po lewej, a nie prawej stronie!

I wciąż, wciąż ziejąca szmaragdowym mrokiem knieja, rozszepkana życiem i gniciem puszcza! Zwalone drzewa, pnie takie, że rękoma w ćwierci byś ich nie opasał, butwieją bezpiecznie, marnują się - podczas gdy gdzieś tam ludzie jedzą zimną strawę, bo nie mają co wrzucić do pieca. Daremnie szukam oczyma jakiegokolwiek śladu gospodarskiej ręki. Natura jest tu leśnikiem, rybakiem, hodowcą - ślepa, bezrozumna natura! Wagony drewna, tony siana, ciężarówki ryb i mięsa spalają się rozrzutnie w bezcelowym kołowrocie przyrody. Gdzieś tam w świecie, nawet nie tak dalekim, ludzie nawadniają już pustynie, zalesiają stepy, topią, lodowce. A tutaj... Ech, niełatwe, niełatwe czeka mnie zadanie...

Oczerety ustąpiły wreszcie, brzegi się podniosły, pojawiły się na nich sosny i brzozy. Z daleka doleciało przeciągłe kwilenie - zrazu myślałem, że to jakiś ptak puszczański nawołuje, ale nie, to była fujarka, pewno dziecię chłopskie przygrywało sobie za krowami. Znak, że zbliżam się do wsi. Jakoż i wkrótce, pokonawszy ostatni zakręt, ujrzałem śródleśna, kotlinkę: rzeka rozlewała się tu szeroko na płyciźnie. Z prawej czerniał bór poprzetykany czerwono jarzębinami, po lewej białała piaszczysta skarpa Zagracona domostwami. Nareszcie!

W kotlinie wisała ciepła cisza, podbijana od spoda kijankami: dwie baby klepały przy brzegu szmaty - moczyły, wykręcały, coś pośpiewywały, podkasane spódnice odsłaniały kolana białe, nie opalone. Płynąc cicho po drugiej stronie, pod nawisami leszczyn, przyglądałem się wioszczynie. Widok przypominał dziewiętnastowieczne landszafty. Georginie i malwy płonęły w ogródkach na tle bielonych ścian. Ściany te przykryte były

strzechami jak czapami, za dużymi, czarnymi. Pod strzechami kłębiły się korony starych klonów z bocianimi gniazdami. Obrazu dopełniały jabłunki, pokropkowane dojrzałymi owocami... Bosa babina w długiej spódnicy pędziła ze skarpy ku rzece stadko czerwodziobych gęsi. Oczy skoczyły ku znajomej chacie... ta przedostatnia... rety, jaka małeńka! Mech pokrywał strzechę zielonym pluszem, bielony dymnik sterczał jak purchawka...

Skręciłem w poprzek rzeki. Na przyzbie siedzieli dwaj starcy: wsparci na kosturach wygrzewali się w ostatnich promieniach lata. Drzemali. Jednemu czapka zjechała na oczy, drugi w kapeluszu był, oklapniętym: kapeluszysko owo przykrywało mu nie tylko ciemię i skronie, ale i oczy, nos, uszy...

Przybiłem do brzegu, wyciągnąłem kajak na piach.

Ten w kapeluszu poruszył się.

- Uff... - sapnął. - Macieju...

- Ehe? - mruknął ten w czapce, głowy nie podnosząc.

- Zdaje się... uff... zdaje się, jakby coś po rzyce chlupie - wystękał ten w kapeluszu. -

Odknijcie oczy, Macieju, obaccie, co...

Wyjąłem z kajaka rzeczy i, ubierając się, obuwając, słuchałem dialogu. Z wielu ważnych powodów interesował mnie poziom umysłowy tutejszych wieśniaków.

- Yy, co będę odmykał - wysapał ten w czapce, Maciejem nazwany. - Musi co krowy wracajo

z wygona...

- Yy, musi nie krowy...

- To owiecki, Jędrzeju.

- Owiecki? - steknął ten w kapeluszu, Jędrzejem nazwany. - A cemuz oni nie beco, jak oni owiecki?

- Nie beco, bo niebekliwe - odparł Maciej. - A cy krowa ciągiem rycy? Nie ciągiem!

- Krowa, co dużo rycy, mało mleka daje! - rzekł Jędrzej.

- O to to, Jędrzeju, o to to! Tak samo z chmuro i dyscem: z dużej - mały.

Na to Jędrzej:

- Co do dyscu, to jedno wam powiem, Macieju: jaskółka nisko, on - blisko!

- Wiem, wiem - wyznał Maciej. - Blisko. Dysc. A co na dysc i słoty?

- Bierz dziurawe boty!

- A kozuch? Co z kozuchiem?

- Nie zdymaj! Do Świętego Ducha nie zdymaj kozucha!

- A po Świętym Duchu? - sprawdził Maciej,
- Chodź dalej w kożuchu! - rzekł Jędrzej.
- O to to to! - pochwalił Maciej. - Chodź dalej w kożuchu.
- Bo od świętej Anki zimne wieczory i ranki! - pogłębił problem Jędrzej.
- Ale jak Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie! - zauważył Maciej.
- A jak Barbara po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie! - odciął się Jędrzej.
- Na Kazimiera zima umiera! - przyciął Maciej.
- A na Grzegora idzie do mora! - skontrolował Jędrzej.
- Idzie?

Maciej się zaciętrzewił. Czapka zjechała mu na nos, z nosa na wąsy, spod daszka było widać tylko spracowaną chłopską głębę, jak się zamyka i rozdziawia.

- Idzie? Idzie, ale jak wes po Żydzie! - huknął.

- A wy mnie, Macieju, chodzenia nie uccie! - fuknął Jędrzej. - Ja i bez was wiem, co chodzić

trza prosto. Kto prosto idzie, dalej zajdzie!

- E tam! - zlekceważył Jędrzeja Maciej. - Kto ścieżki prostuje, w domu nie nocuje!

- Nie nocuje? Wy mnie noco, Macieju, nie strascie. Ja wiem, co w nocy wszystkie koty carne!

- A wy mnie, Jędrzeju, kotami nie strascie. O kotach to ja wam powiem tyle: kot im starszy, tym ogon twardszy!

- To i co? - zlekceważył pogroźkę Jędrzej. - Twardszy tyn ogon czy miękniejszy, a i tak się pod tym ogonem kotu nie zagoi!

- Nie? - zaprzeczył się Maciej. - To ja wam powiem, że zagoi się! Zagoi się! A wiecie kiedy?

- No, no?

- Jak dysk będzie z ziemi do nieba padał, hę hę hę hę!

- E tam, dysk... - parsknął Jędrzej spod kapeluszyka. - O dysku to ja wam powiem tyle: jaskółka nisko - on blisko. Ot, co!

- Nu, prawda... - zgodził się Maciej. - Święta prawda: dysk blisko, jak ona nisko. A co na dysk i słoty?

- Co na dysk i słoty? - powtórzył pytanie Jędrzej. - Ha, ja wam zara powiem, Macieju, co na dysk i słoty. Na dysk i słoty bierz dziurawe...

- To już było, panowie! - przerwałem wieśniakom ludowy dialog. Wyprostowali się, poprawili czapczyska: wśród tygodniowej szczeci błysnęły oczy. Patrzyli na mnie ciekawie.

Czekałem...

- O Jezu! - zawołał ten w czapce. - Cy ja dobrze widzę? Maniuś?

- Nie, nie Maniuś - odpowiedziałem uroczyście. - Marian! Marian Grzyb, magister!

- Maniuś! - zawołał stary, zrywając się z przyzby, do witania ruszył... ale zatrzymał się onieśmielony. - Hej, Jancia! - zawołał w głąb podwórza. - Maniek przyjechał!

- Aha, ucyć... - skrzywił się Jędrzej. - A ja już dumał, co latoś tyj skoły nie będzie...

Przybiegła matka - ręce rozwarła do witania.

- Maniuś, Maniuś! - załkała. - Synecek kochany! Aj, słonecko moje...

Ale ucichła, ręce opuściła. Przyglądała mi się z respektem.

- Jezu, okulary! - szepnęła. - Jaki ucony...

Uścisnąłem dłoń matce - zwyczajnie, bez cmok-nonsensów, sentymentalnych ceremonii. Podałem rękę ojcu oraz sołtysowi.

- Nu trudno - rzekł Jędrzej, drapiąc się po głowie. - Pójdę sykować skołe...

Odszedł. Nie wyglądał na zachwyconego moim przybyciem.

My udaliśmy się do chaty. Oczywiście, odzwyczajony od chłopskiego budownictwa, głową o futrynę zawadziłem. Przez zagraconą sień, zdeptyany próg weszliśmy do izby. Z garnków parowało. Pachniało ziemniakami. Bielone piece... Ławy... Cebrzyki w kącie... Krzywa gliniana podłoga...

- Bedzies pomieskiwał w alkierzu! - oznajmiła matka i weszliśmy do drugiej izby, odświętnej. Otworzyłem okno, bo duszno było, i rozejrzałem się wokół z ciekawością.

Ogromny, zdobiony kufer zajmował jeden kąt, a drugi łóżko: wyładowane haftowanymi poduszkami, poduszczkami, kończyło się pod sufitem, zresztą niewysokim. Na parapetach, na ławie, na podłodze stały donice z kwiatami - mirty, jałowczyki, pelargonie, asparagusy i bóg wie jakie jeszcze ziela pięły się po różgach i sznurkach aż do pułapu, zwisały po ścianie zielonymi wiechciami. Podłogę zdobiły samodziałowe chodniki, a ściany - makatki i święte obrazy. Na półeczce tłoczyły się gliniane aniołki, lwy, jelenie...

Ja izbę oglądałem, oni mnie.

- Jaki ważny! - zachwycała się mną matka, ręce skrzyżowawszy na fartuchu. - O, tera my nie damy się Błazejom, nie!

Ojciec podszedł do okna i pogroził w stronę stryjowego domostwa za płotem.

- Nu, Błazej, tera się spróbuj em, kto mocniejszy! - warknął mściwie.

- Ty, Maniuś, nas obronis! - złożyła ręce matka.

- Nu, pewno, mafister! - rzekł ojciec z dumą. - Skargę napise do marszałka, zeb Błazejom ziemie zabrać - i zabioro!

Zwróciłem ojcu uwagę, że nie przyjechałem tutaj na spory o miedzę. Obruszył się.

- Nu co ty? Toć od ciebie się zacełol

- Ode mnie?

- Co, zabył się? - rzekł oburzony. - Nie pomnis, jak ty gruski rwał, o te! - I wskazał gruszę za oknem.

Wyjrzałem... A jakże - rosła! Może mniejsza, niż się kiedyś wydawało, może mizerniejsza, ale na tym samym miejscu tkwiła co kiedyś: pośrodku, między dwiema chatami, stryj ową i naszą.

- Nie pomnis, jak cię Błazej za te gruski złoil? - ciągnął ojciec. - Nu, a potem ja strząchnoł z tyj grusy Błazejaka, najstarsego... na ziemi kijami poprawił... i tak jakoś wysło, ze chłopca pochowali...

- Wysło! - mruknąłem, mroczniejąc na wspomnienie tej okrutnej historii... miałby dziś Antoś dwadzieścia dwa lata, tyle co ja.

- Nu i Błazej zawzioł się zgładzić syna za syna... - wspominał głośno ojciec. - Wleciał raz donas z siekierko, noco, ale po ciemku na Jadzie trafił, nie na ciebie...

- Uciekłem, trafiłem do szkół, wyuczyłem się, wróciłem i nie zamierzam babrać się w starych sprawach - oznajmiłem krótko, aby zakończyć nieprzyjemny temat.

- Ale nie wiesz, ze Jadzi było dla Błazeja mało - odezwała się matka. - Wleciał jesse raz z siekierko. I zabił barana.

- Barana?

- Dla sprawiedliwości. Dziewcyne zgładzić i barana na dokładkę, to prawie jak chłopca - wyjaśniła.

Pięści same zacisnęły mi się z wściekłości. Święte obrazy, makatki... Malwy pod oknami. Krzyże na rozstajach. Skowronki, brzęczenie kos, pieśni żniwne, dzwony na Anioł Pański... Serca proste, ale szczerze... A tak naprawdę?

- Miał się ja od niego, miał się i on ode mnie! - rzekł ojciec hardo. - Na mazguja nie trafił!

- O, Maciej umie swojego dochodzić - pochwaliła matka. - Wies, co jemu wybił, temu bandycie? Zgadnij! E, nie zgadnies... Oko!

Zadrzałem.

- Oko?

- Kamieniem! - pochwalił się.

- Zara po Zielonych Świątkach - dodała matka. - W środę.

- Jak to? - spytałem ze zgrozą. - Wybiliście Człowiekowi oko! Za nic?!

- E, za nic to nie...
- Więc za co?
- A bo on me ogłuszył...
- On?
- A zaleciał od tyłu, kropnął me kołkiem w łeb, i ogłuszył!
- Za nic tak was kropnął ?
- Całkiem za nic to nie... Za swoje babę.
- A co wyście jej zrobili?
- A nic... Ot, ździebkiem jo przetrącił po łydach.
- Podkulawiliście kobietę! I za co ?
- A bo ona do nasego kurnika wesła!
- Po co wesła?
- A po gęś!
- Po waszą?
- E, nie. Po swojom.
- A co Błazejowa gęś w waszym kurniku robiła?
- A ja jo zajęła! - pochwaliła się matka.
- A po co było zajmować?
- A bo ona na nase wlaźła i naszym gęsiom podjadała!
- Aha... Błazejowa gęś wesła na wasze podwórko i waszym gęsiom podjadała?
- A nu! - oburzyli się zgodnie.
- A wyście, matko, tę gęś zajęli?
- A nu!
- I wtedy Błazeicha przyszła ją odebrać?
- A nu! I zabrała!
- I wtedy wyście, ojciec, przetręcili Błazejowej nogę?
- A nu!
- I Błazej kropnął was za to kołkiem w głowę?
- A nu! Kropnął i ogłuszył, psiapara!
- I wyście mu za to oko wybili ?
- A nu... Tak jakoś wysło - wyznał stary.
- Niechący?
- Niechący.
- A to nie celowaliście mu w głowę?

- Nu, po prawdzie, to w głowę.

- A nie w oko czasem?

- Zeb nie zełgać, powiem: w oko.

- Celowaliście w oko i nie chcieliście wybić?

- Wybić to może i ja kciał. Ale nie oślepić...

- Oj, nie żałuj hada! - zachnęła się matka. - A cy ty obydwu wybił? Tylko jedno! Te drugie Lipki wybili, łośńskiego roku!

- Aha... Lipki... Łońskiego roku... - powtórzyłem bezsilnie.

- Ale nie całkiem wybili - usprawiedliwiał się stary. - Tyle co do roboty, to widzi. Nu to cegoz. A zresto babę ma mocne, baba jemu robi... I chłopcy podrastają!

- Niebezpieczne już! - dodała matka. - Ale nic to, we troje to my już im damy rade, w razie cego chycis, Maniuś, siekierkę i już! Aj, słonecko moje! Kwiatusek ślicny! Robacek jedyny!

- O, nie! - oświadczyłem zdecydowanie. - Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego! Rozumiecie?

- No no! - nastroszył się stary. - Toć z ciebie to wsytko... Ty gruski rwał!

- Nie, nie wciągniecie mnie w swoje awantury! Znajdę sobie kwaterę gdzie indziej, u kogokolwiek!

- Co? Co on gada? Ze nas ostawi? - Ojciec wstał, wziął się pod boki, wzburzony wielce.

- Synecku! - zawołała tklawie matka.

- Jestem nauczycielem, a nie żadnym syneckiem, pani Grzybowa, czy to jasne?! - huknąłem. - I nie przyjechałem tutaj ani na rozboje i spory o miedze, ani na wspominki i serdeczności!

- Jezu! - jęknęła. - Urodzili, wychowaliśmy, a on tera chce nas, starych, ostawić!

- Wychowaliśmy? Te przesady, zabobony, pacierze - to wychowanie ?

- Urodzili cię!

- Bo parobek był wam potrzebny do pasienia krów i gęsi!

- Pocelim!

- Więcej przyjemności niż trudu!

- Maniek! - rzekł stary groźnie, pas odpinając. - Ucony ty cy nieucony, ale jak cię zara zleje, to ty, psiakrew, przestajes tu stawiać się! Toż ty krew z krwi, kość z kości mojej!

- I mojej! - upomniała się o swoje kobieta.

- A mnie się zdaje, że moje kości i moja krew są moje - odparłem krótko.

- Twoje? - rzekł stary i pas wyszarpnął. Krew mi nabiegła do twarzy - ze wściekłości, oburzenia, ohydy.

- O, nie! - oświadczyłem zdecydowanie. - Nie będę z wami mieszkał!

- Nie?

- Nie! Raczej wyjadę, niż wam się poddam, barbarzyńcy! Przysięgam!

- Synku! - zawołała kobieta błagalnie. - Synku!

- Bedzles z cudzymi żył? - spytał jeszcze raz stary, tracąc rezon, ręka z paskiem opadła mu bezwładnie.

Prymitywni, okrutni - a przecież i oni prawdopodobnie mieli jakieś życie duchowe. Teraz na przykład wyglądali na ludzi przybitych, zranionych, cierpiących. Serce drgnęło mi współczuciem.

- Dobrze. Zgodzę się u was kwaterować - oznajmiłem. - Ale będę osobą urzędową! Nie będzie mi i u żadnych „syneku”, „Maniuś”, „a pamiętas, jak ty był maluśki...” Będziecie się zwracać do mnie per „panie magistrze”, ja do was „panie Grzyb”, „pani Grzybowa”. Za wyżywienie i pokój będę wam płacił - będę płacił, ale też będę wymagał!

- Jezu, do swojego syna: panie! - stęknęła Grzybowa, oczy wytrzeszczywszy nierozumnie. - O, do tego na świecie dochodzi...

- Takiej hańby docekać... takiej hańby... - westchnął Grzyb i ni stąd, ni zowąd zachlipał. Ręką, tą samą ręką, która trzy miesiące temu cisnęła kamień w bratowe oko, tą ręką teraz oto łzy wyciera!

- Straszny! - rozchlipała się kobieta. - Barabas!

- Barabas... - zgodził się z nią stary. - Ale trudno, niechaj ostaje... Co majo na nim cudze zarabiać...

Zacisnąłem zęby, aby stłumić ckliwe uczucie żalu, przezwyciężyć niepotrzebny skurcz gardła. Jeśli mam coś tu zdziałać, nie utonąć w międzysąsiedzkich waśniach, rodzinnej mafijności, obyczajowych ceregielach, muszę być twardy, nieustępliwy.

- No to dość tej kultury ludowej, pani Grzybowa! - zadecydowałem nie zwlekając ni minuty. - Oczyścimy pokój z rupieci!

I raz, dwa, mimo jej sprzeciwów, pozdejmo wałem z półek figurki, ze ścian obrazy - kazałem je wynieść z izby. Tak samo zlikwidowałem, ku jej rozpaczy, duszny zielnik. Poleciałem rozmontować łózkową piramidę, precz wynieść jaśki i pierzyny... Grzybowa, pochlipując, wynosiła graty na strych i do komory. Grzyb poszedł na gumno...

Przyjmując mnie na stancję, Grzybowie nie robili bynajmniej złego interesu: kilkaset złotych miesięcznie spadało im oto jak z nieba. A nie jest to suma bagatelna w tutejszej

biednej okolicy. Bo i z czego żyją tu ludzie, na tej wydmie wśród mokrych lasów, z dala od świata? Z lasu i z rzeki, grzybami, jagodami, rybami. Co czwartek niosą przez błota na targ w powiatowym miasteczku mizerne płody swojego zbieractwa. A przecież zanieść nie znaczy jeszcze sprzedać. Skąd więc mają brać grosiwo na naftę, zapalki, sól, cukier, na gwoździe, lemieszce, na podatki wreszcie? Od ust odejmują, byleby pud żyta czy worek kartofli sprzedać na jarmarku. O, nierzadko, gdy przednówek przycisnął, nalewką z szyszek, barszczem szczawiowym, mamałygą. z komosy żywić się musieli, chlebem z kory dębowej, korzonkami leśnymi. Jeszcze najlepiej temu się udało, kogo drzewo za młodu skutecznie przygniotło, kogo woda litościwa wciągnęła w swe wiry bezpowrotnie. Kogo zwierz jaki grubszy, mimowolny altruista, zjadł lub chociaż rozszarpał.

Grzybowa wynosiła rupiecie, ja tymczasem przyniosłem z kajaka plecak i walizkę. Rozpakowałem. Książki i przybory piśmiennicze położyłem na stole. Na półeczce po Matce Boskiej umieściłem przybory toaletowe, na gwoździu po Sercu Jezusowym zawiesiłem portret Mędrca - którego silna wola i zaangażowanie społeczne były i będą mi zawsze szczytnym wzorem, na haczyku po makatce - lusterko. A na parapecie stanął budzik.

Pod oknem gromadzili się powoli gapie - dzieci, parę bab i kawałka. Pogadywali, wypytywali chmurnego Grzyba, komentowali. Chłopcy niby to mnie bojkotowali - niby stali z dala, ot, tak sobie - a przecież obserwowali zawistnie, jak niosłem walizkę, wiosło... Wiem, woleliby, żebym spuścił z tonu, uległ, załamał się - przeszedł na komitywę... No bo czy to kiedyś nie łąziło się razem po drzewach, nie grało w chowanego, kręcąc, gęsi do domu? O, na pewno wygodniej by im było ściągnąć mnie w dół, zdegradować - niż podciągać się do mego poziomu. Półudzie, półniedzwiedzie... Łuszczyli słoneczniki, pogadując coś pospolitego: Włodek, Nasiadko, Cybulko, Pogorzelać, obydwaj Łucyki, Gręboś - tacy sami jak dziesięć, piętnaście lat temu, nieskomplikowani, z rozdziawionymi na świat gębami, bez najmniejszej refleksji nad dialektyką przyrody, sensem bytu! - Wybił się! Nie poznaje! - poszeptowali między sobą. - Mafistra rżnie!

Łuszczyli pestki i spluwali, kto dalej.

O kolacji przypomniałem kobiecie - po długiej mozolnej podróży jeść mi się chciało...

I o zmierzchu, gdy skończyłem porządki, Grzybicha wniosła i postawiła na stole jedną michę z parującymi ziemniakami, drugą z jakimś białym wodnistym płynem, oprószonym szczypiorkiem. Łyżka wielka, drewniana w nim tkwiła. Zaczerpnałem, spróbowałem - ni jedno, ni drugie nie nadawało się do jedzenia.

- Dlaczego te ziemniaki nawet nie okraszone! - zawołałem, odkładając łyżkę.

- Toć piątek dzisiaj!

- A co mnie obchodzą wasze piątki!

- Jak to? - obruszyła się kobieta. - W piątek Pana Jezusa ukrzyżowali...

Wyjąłem z walizki podręcznik kulinarny.

- Płacę i wymagam, pani Grzybowa! Oto książka kucharska, i proszę mi gotować czysto, smacznie i z mięsem. Nie ja wam Pana Jezusa ukrzyżowałem!

Grzybicha zajrzała w kartki z szacunkiem, jakby książkę do nabożeństwa przeglądała. Grzyb lampę wniósł, wykręcił knot - nieco pojaśniało w mrocznej izbie... Spojrzałem na niego, na nią - dreszcz jakiś przeskoczył mi po plecach... Rety, dokąd ja przyjechałem!

- A gdzie się u was chodzi? - spytałem, wstając od stołu, głodny i zły.

- A to niby... pan... mafister nie pamięta? - mruknął wrogo wieśniak.

Chudy, przygarbiony, w postrzępionych portkach, brudnej koszuli przypominał stare wyliniałe ptaszysko, wysłużonego stracha polnego. Kobicina, omotana chustką po oczy, w spódnicy długiej, łachmaniastej... Lampa... Koślawe zydle... Gliniana podłoga... Stłumiłem w sobie westchnienie, wyszedłem na dwór.

Zmierzchało... Wieś szykowała się do nocy: porykiwały na gumnach krowy, szczekały psy, pokrzykiwały dzieci, ale coraz sennie, ciszej... Minąłem domostwo stryja Błażeja, ostatnie we wsi, przede mną biała wyniosła wydma. U jej podnóża kosmaciły się wzdłuż rzeki cherlawe sosenki. Z mieszanymi uczuciami skryłem się w krzakach, przykucnąłem i w tych - niegodnych cywilizowanego człowieka okolicznościach - popatrywałem w niebo, na ostatnie, kiczowate dekoracje gasnącego zachodu. Natura po raz niezliczony powtarzała swój spektakl, skompromitowany zresztą przez poetów i malarzy, owych pięknoduchów, co to malowali niebieściuchne oczęta, bajecznie kolorowe koszuliny - a krzywiczych nóg nie dostrzegali... Jurność i krzepę wiejskich dziewczuch i kawalerczaków Opiewali - ale na suchoty, tyfus i dyfteryt dziesiątkujące wiejską młodzież, na żyłaki, płaskostopie i wady kręgosłupa oczy przymykali.

Wyszedłszy z krzaków stanąłem nad wodą. Piach matowy, zwilżony rosą, zlewał się z mrokiem. Stary pień czerniał jak łeb wydobywającego się spod ziemi zwierza. Usiadłem na chwilę - podumać, a przy okazji organizm dotlenić, do snu przygotować. U stóp moich rzeka toczyła swe wody z ledwo dosłyszalnym szeptem. Ech, a rzeki? Iluż to artystów muzykowało, rymowało, malowało ich piękno, a czy który wspomina z raz o ofiarach strug i ruczajów? O topielcach wiejskich? O owcach, krowach, o chatach zrabowanych przez rozpasane strumienie? O zalanych polach?...

Gałąź bezlistna, stercząca, okręcając się z wolna, lunęła z nurtem. Pod kępą chlapnęła głośno ryba. A może żaba... Z lewej coś plusnęło - plusk miarowy narastał, przybliżał się, jakby płynęło coś żywego, i to niemałego. Jakoż zabielały nad wodą ramiona, skóra żywo kontrastowała z szarzyzną wody i mroku. Ktoś płynął, prawdopodobnie człowiek. A komuż to chciało się moczyć nocą w wodzie nie za ciepłej, jesienniejącej? Osoba podpłynawszy do płyicznej stanęła na nogi... wyzymając włosy brodziła ku brzegowi. Bez ubrania, naga. Nie, nie była to osoba płci męskiej - wprost przeciwnie: choć zmierzch narastał, widać było cechy płciowe charakterystyczne dla kobiety, i to niestarej. Nieznajoma sięgnęła po leżącą na brzegu sukienkę i wdziwała ją przez głowę, prychając z zimna.

- A co ty dzisiaj taki niegadatliwy, a? - zagadnęła, rozczesując włosy. - Nie obłapię, nie powalis...

Milczałem zaskoczony. Najwidoczniej brała mnie za kogoś innego.

- Nu, Stach! - obruszyła się. - Co nie gadasz do mnie!

Tupnęła nogą rozzłoszczona, aż jej wielkie piersi zakołysały się pod sukienką prymitywnie. Trzeba było zareagować.

- Czy to pani, pani Malwino? - zagadnąłem.

- O Jezu! - krzyknęła przestraszona. I, pokonując strach, nachyliła się nade mną: - Ach, to ty, Maniuś... - ustaliła mimo mroku i odetchnęła z ulgą.

- Ledwo panią poznaję... - wybąkałem, nieco zakłopotany, nie byłem przecież tym, na kogo czekała. - Bardzo się pani rozwinęła... Fizycznie.

- „Pani”, „pani”! Coś ty tak spaniał przez te skoły! W wiosce gadają, że mafistra udajes...

Stała przede mną wzięwszy się pod boki, bezwiednie eksponując swoje atuty płciowe.

- Nie udaję - odrzekłem spokojnie.

- Nie udajes? E tam, udajes, udajes... Jakby ty był mafister, to ho ho... Mój Stach nieucony, cytać nie umie, ale jak me chyci, od razu gorąco się robi!

- Mogę okryć marynarką.

- Yy tam, marynarka... O, idzie, Stach, Stasiulek mój jedyny.

Jakoż usłyszałem kroki i złowieszcze posapywanie: osobnik rosły, wąski w pasie, szeroki w barach zaczerniał na tle nieba. Wstałem, by zostawić kochanków samych. Niestety: złapano mnie za orzydle.

- A, to ty, hadzie! - warknął osiłek trzymając mnie za klapy. Wyprostowaną ręką jak dyszłem zaczął popychać ku rzece. - Okulary, co? Atramenty? Książki? I jesce dziewczyny mojej się zachciało tobie, anychryście!

- Ależ, kolego... - usiłowałem perswadować, daremnie! W osiłku ozwał się kompleks analfabety, nie mógł znieść Stach, poczciwy Stach, tego, że jego rówieśnik, awansowawszy z chłopstwa do inteligencji, przyjechał do wsi z cenzusem wyższej uczelni i będzie nauczycielem, podczas gdy on pozostał nadal wieśniakiem - i to wieśniakiem barbarzyńcą! Tak, barbarzyńcą, gdyż ściskając mi oburącz szyję, po barbarzyńsku dusić zaczął. Zastanawiałem się, charcząc, czy z kompleksem analfabety nie sprzęgła się w nim prostacka samcza zazdrość o kobietę. A Malwina, niestety, podjudzała w nim bestię.

- O ziem go! - wołała. - Jak Ignaca! Abo złam rękę, jak Antkowi! Wrzuć do wody, jak Zdzicha!

- Nie! - odparł oprawca. - Ja go, cha cha cha, uduse, cha cha cha, jak hada!

I rzeczywiście, wzmocnił uchwyt, utrudniając mi oddychanie, oczy zaczęły mi wychodzić z orbit, co go wielce bawiło.

- Cha cha cha! - śmiał się. - Chodź, Malwina, zobac no, jak jemu gały wysadziło!

- Uduś! - sugerowała młoda barbarzynka. - Wrzucim do wody, spłynie i koniec!

- Nu pewnie! - cieszył się zwierzęcy jej kochanek. - Zgnije i będzie spokój, a po chorobę nam ta jego skoła!

I spotęgował ucisk gardła, odcinając mi całkowicie dopływ tlenu do organizmu, co było tym straszniejsze, że nie mogłem przemówić ni do jego serca, ni do rozumu. - P-p-puść! - jęknąłem, ale cóż, gardło wydało jakiś charkot nieartykułowany, tchawica nie funkcjonowała. Ostatkiem sił ścisnąłem wraźną łapę, wykręciłem, szarpnąłem się, odskoczyłem.

- Ho ho, jaki śwarny! - zdziwił się prześladowca. I znowu ruszył na mnie ze swoimi łapami.

Cofnąłem się. Ale już, chichocząc, Malwina zastąpiła mi drogę: napędzali mnie ku rzece. Nie było wyboru, należało uchodzić. Skoczyłem, odtrąciłem barbarzynkę i niezwłocznie runąłem w ciemność... Szyderczy śmiech pędził za mną, para dzikusów cieszyła się moją klęską. Odbiegłszy, stanąłem pod Grzybową chatą zdyszany.

Księżyc wzeszedł, wieś się uśpiła. Jakiś ptak nawoływał pod borem. A od wydmy sunęły szepty, jurne chichoty... tak, to barbarzyńcy oddawali się prymitywnym pieszczotom. Także w trawie coś popiskiwało, chrzęściło zmysłowo - płazy jakieś, gady, a może chrząszcze. Bezrozumna natura dawała upust chuciom. Spojrzałem po chatach, po ciemnych oknach... O ile znam życie, tak samo zabawiali się w tych ciemnych izbach ich dwunożni mieszkańcy. Tylko moje okienko tliło się w ciemnościach żółtym prostokąciem... No, pora spać, sił nabrać do działań jutrzejszych. Po omacku sforsowałem się. Izba kuchenna... W

kątku Grzyb i Grzybicha mamrotali na klęczkach pacierze, klepali ojczenasze i zdrowaśki do obrazów. Boże, obojętny, nie istniejący Boże, gdzież ja trafiłem! Ile do odrobienia! Czy podołam... Zdmuchnąwszy lampę położyłem się do łóżka. Przez półotwarte okno wionęły łąkowe zapachy, napływało słynne z rzeskości wioskowe powietrze. Gwizdały osławione słowiki czy coś w tym rodzaju. Długo leżałem z otwartymi oczyma., sen nie przychodził do skołatanej mej głowy. A gdy zasnąłem, śnili mi się junacy na trasie W-Z, trójki murarskie... Ach, pięknie było, rewolucyjnie.

Zadzwoił budzik... odemknąwszy oczy, ze smutkiem stwierdziłem, że jestem sam, w wiejskiej chacie... Przez gałęzie i okno wślizgiwały się do izby strome promienie - dzień zaczął się już na dobre. Zegar wskazywał siódmą.

Wstałem, pościeliłem łóżko i, po krótkiej zaprawie gimnastycznej (nie ma co, siła fizyczna. - brutalna siła fizyczna - przyda mi się nieraz w tutejszych warunkach), rozgrzawszy mięśnie, zbiegłem z mydłem i ręcznikiem do rzeki... Najpierw przepłynąłem kraulem pod prąd (!) 2 pięćdziesiąt metrów. Umyłem się... Rześki, mocny, odważny, mlekiem i chlebem się posiliwszy, za pięć ósma stawiłem się w szkole.

Szkoła znajdowała się niedaleko, po sąsiedzku: w sołtysowej chacie. W niedużej niskiej izbie stało z dziesięć ławek pozbijanych z grubych desek. Tablica w kącie, czerń utraciwszy od ścierek i kredy, szarzała żałośnie. Sołtysicha zamiatała podłogę, sołtys z pękiem gwoździ w jednym ręku, z młotkiem w drugim próbował wzmocnić rozchwierutane ławki. Kwadrans po ósmej przyszły pierwsze dzieci.

- Dzień dobry! - powiedziały, przyglądając mi się lękliwie. Troje ich było.
- Dzień dobry! - przywitałem je przyjaznie. - Proszę, siadajcie! Jak się nazywacie ?
- Zofia Grzybówna c. Jana - przedstawiła się rezolutnie dziewczynka.
- Kazimierz Grzyb s. Łukasza - przedstawił się maluch z łysinką na ciemieniu.
- Kazimierz Grzyb s. Jakuba - przedstawił się zuch z dyndającym uchem.
- Hm... A od czego, Kaziu, masz takie ucho? - zaciekałem się.
- Od polskiego...
- A ta łysinka, Kaziu ?
- Od historii...
- A wasza pani gdzie wyjechała?
- Utopiła się! - zawołały radośnie.

Z niezwykłą w ich wieku dojrzałością obserwowały moje ręce założone na piersi -

zgadywały zapewne, czy mocno biję w łapę i czy lubię kręcić ucho.

Powoli ławki zapełniły się. - Czy już wszyscy? - spytałem, przeglądając dziennik.

- Błazejaków jeszcze ni ma - powiedziała Zosia. Mazurzyła, jak wszyscy w tej wsi.

Błazejaki - czyli synowie Błazeja, mojego stryja. A więc moi stryjeczni bracia!
Ciekaw byłem, jak wyglądają.

Zadudniło pod oknem i zaraz pojawili się w progu. Małe były to chłopięta, chude, oskubane nożycami niczym jagniątka, wszystkie z rzadkimi zębami i czegoś wystraszone. Pięcioro. Za to szósty, ostatni, z pół metra górował nad braćmi. W czapce był i ojcowych butach z cholewkami.

- Ty w której klasie? - spytałem.

- W czwartej.

- Który rok?

- Sósty! - odparł z dumą.

- A uszy? - zdziwiłem się. - Całe?

- Niechby spróbowała! - prychnął i splunął przez otwarte okno het, na środek gumna.

Najmniejsze z Błazejąt trzymało w rękach skrzypce z gonta, tkliwie jak gołębia tuliło ją do swego serduszka.

- Jak ci na imię? - spytałem.

Zamiast odpowiedzieć, chłopczyk oczy piąstką wstydliwie zasłonił.

- Nu gadaj, jak cię pytają! - huknął najstarszy malucha w kark. - Mów: Janko!

- A przezwisko Muzykant! - dorzuciła Zosia..

Spoważniałem, pomroczyła mi dusza znowu. Rety! Ze sto lat do odrobienia.

Poprosiłem chłopca, by zagrał, lecz Jasio oczy wlepił w ziemię i skamieniał. - Zagrajże co, Jasiu - zachęciłem, głaszcząc zjeżone włosięta. Ale odwrócił się do mnie bokiem i, niespodziewanie, załkał... może dobrocią wzruszony? Kto wie, czy moja dłoń na jego włosach nie była pierwszym promykiem serdeczności w tutejszej surowej, zimnej okolicy.

- On się wstydzi! - zawołały dzieci. - On wstydlivy!

- Zagrajże, Jasiu - poprosiłem chłopca. - Jeśli ładnie zagrasz, to przywiozę ci z miasta prawdziwe skrzypce...

- Graj, durniu! - znowu huknął go kułakiem najstarszy. - Słyszysz? Darmo skrzypce dostaniesz!

I Jasio zagrał. Otarł łzy piąstką, przycisnął brodą deseczkę, smykiem krzywym po drucie przejechał - zakwiliła skrzypczka! Jak wilga, jak gil, jak słowik! No bo kogóż miał tu

Jasio naśladować, od kogo uczyć się pięknej sztuki muzykowania, jeśli nie od nich - leśnych grajków i melomanów.

- Będziesz miał, Jasiu, prawdziwe skrzypce! - oznajmiłem z mocą, wzruszony. - Nie pozwolę, aby taki talent się zmarnował! Będziesz się uczył w szkole muzycznej!

Chłopię patrzyło we mnie niebiesciuchnymi oczyma, pod łzami świtał w nich ufny uśmiech... Klasnąłem w ręce.

- A teraz, drogie dzieci, pójdziemy na wycieczkę! - zawołałem gromko. - Na wycieczkę!

Ale, o dziwo, nie usłyszałem spodziewanego gwaru, okrzyków radości. Dziewczynki, chłopcy siedzieli w ławkach, nachmurzeni, niechętni.

- No, idziemy! - powtórzyłem wezwanie.

- Kiedy my nie chcemy na wycieczkę - mruknął Kazio z naderwanym uchem.

- Znowu będzie o tej poezji! - zabasował najstarszy Błazejak, Pietrek mu było.

- Jakiej poezji? - zdziwiłem się. - Czego wy się boicie?

- A bo tamta pani to nic, tylko wodziła nas i wodziła na kurhan uczyć tej poezji.

- Przepytywała i przepytywała!

- Dwójki stawiała!

- Biła w łapę!

- Usy kręciła za te poezje!

- Kazała patrzeć z góry na rzekę i pytała, co robi rzeka - wyjaśnił ponuro Pietrek. - Jak się powiedziało, że płynie, to stawiała dwójke albo kręciła ucho. A jak się powiedziało, że „wije się”, stawiała trójkę. A kto powiedział „wije się jak wstążeczka”, dostawał cwórke.

- A ja mówiłam „wije się jak błękitna wstążeczka” i dostawałam piątki! - pochwaliła się Zosia. - I wiem, co robi łąka, co las, co słońce, co wiatry, co ptaki, co ryby... Ojej! Prose pana, oni mnie scypio! - poskarżyła się.

Zaciekawiły mnie praktyki mej poprzedniczki i owoce jej nauczania.

- A co, Zosiu, robi łąka? - spytałem.

- Leży w dole jak barwny kobieriec! - odparła bez namysłu.

- A las?

- Cicho semrze swoją pieśń przedwieczną!

- Oho! A słońce?

- Wisi na niebie jak złoty dukacik!

- Yy, coś płaczes! - wtrącił się Pietrek. - Słońce cese swe jedwabiste włosy na gałęziach drzew!

- Głupiś! - oburzyła się Zosia. - Swe jedwabiste włosy na gałęziach drzew cese wiater!

Wiater

to figlarne dziecię słońca, chmur i nieba! Figlarne, pamiętam dobrze!

- A wcale nie! - zaprotestował Pietrek. - To chmury, chmury so figlarne!

Uciszyłem powaśnionych i spytałem, co jeszcze mówiła im pani o poezji.

- Ze poezja upięksa świat!

- Ze bez poezji żyć nie warto!

- Ze kulturalny człowiek musi umieć co najmniej sto porównań!

- Sto ? - zainteresowałem się. - A ile nauczyła ?

- Pindziesiont siedym!

- I zaraz utopiła się!

- Bo ona lubiła wypływać łódka i rozmyślać o poezji!

- I raz łódka przewróciła się!

- Na głębi!

- I ona wpadła!

- Jak kamień w wodę! - zakończył Pietrek celnym porównaniem.

- I jesce cepiała się... - zaczął Kazio - cepiała się, ze mówimy skoła, a nie szkoła... Na dzicki kazała gadać ulegalki...

- Ulegalki, cha cha cha! - rozbawiło Pietrka.

Ale nie zdążyłem poinformować dzieci, jakie jest moje stanowisko w tej kwestii, bo za oknem rozległy się krzyki.

- Odydź, złodzieju! - krzyczała kobieta. - Odydź, to nase!

- Won, bandyto! - dołączył się głos męski, piskliwy. Pietrek zerwał się z ławki.

- Muse lecieć! - rzekł. - Znowu bedo się bili!

- Kto?

- A tatko z Maciejami! Lecę!

- Ani mi się waż! Siadaj!

- Ale ja muse... Zwolnijcie... Pomogę i zara przylecę...

- Siedź! Nie będziesz bił się o miedzę, dość się starzy o nią nawojowali! - obsadziłem wyrostka.

Tymczasem krzyki nabrały temperamentu i rozmachu.

Wyjrzałem przez okno.

A jakże, stali już naprzeciwko siebie, z gotowymi do bójki rękami: stryj Błażej cep trzymał, Błażeicha, baba wielka i żyłasta, drag dzierżyła w swoich łapskach. Rodzice

uzbrojeni byli skromniej: Maciej siekierkę miał w prawicy, matka widły. Tylko sporna grusza tkwiła między nimi obojętnie. Ponad nią chmara wróbli, spłoszonych krzykami z gałęzi, zataczała z furkotem wielkie koła.

- Moje gruski! Moja grusa! - oznajmił Grzyb Maciej dobitnie.

- Co? - nadał się Grzyb Błażej. - Twoja? Kiedy moje o, potąd! - I piętą zakreślił, pokąd jego.

Maciej ominął go i zakreślił piętą krechę po Błażej owej stronie gruszy.

- O, potąd moje! I grusa moja! To ja jo posadził! Pamiętam dobrze, ja!

- Ty? Ja! - zaperzył się Błażej. - Pamiętam dobrze: w niedziele posadził, jak wiecorem na dwór wysed!

- Wiecorem? He, to ja pierwszy. Ja rano!

- Jak ty mog posadzić, jak ty gruskow nie jad, bo ciebie od gruskow wzdymało!

- A cy ja mowie, ze nie wzdymało? - na to Maciej. - Wzdymało! Wzdęło - i posadził!

Błażej sięgnął po gruszkę, zerwał, rzucił Maciejowi pod nogi.

- Mas! Jak cię wzdyma, to se zjedz i posadź! A od tej grusy wara, bo ona moja! - oświadczył, cep wznosząc do góry.

- Moja! - wrzasnął Maciej i wzniósł prawicę z siekierką.

Błażej kropnął cepem, Maciej jęknął, kropnął siekierką - chybił - szczepili się - baby też się szczepiły. Rozjuszeni, krzycząc, charcząc, piach odpluwając, tarzali się pod gruszą, wzbijając tumany kurzu. Ludzie się zbiegli, aby oglądać widowisko, dzieci cisnęły się do okna, żeby oczy walka napaść... Okropność... Sołtys nadszedł. Stał pod moim oknem, chciało mu się pogwarzyć.

- Oho! - rzekł do mnie. - Dzisiaj coś rano zacynajo... No, no, ciekawe kto dzisiaj kogo.

Wyglądało jednak na to, że Błażejowie. Błażeicha powaliła Macieichę, siedząc na niej okrakiem, biła kułakami z góry, jakby ciasto miesiła.

- Ot, robotna baba! - podziwiał sołtys. - Taka baba w gospodarstwie to jak para koni. Yy, więcej: para koni i bycek... Oho, i krowa do tego...

Błażej zaś Macieja powalił - stał nad nim w rozkroku i walił cepem z góry równo, rzetelnie, z chłopską obrzędowością.

- Ho ho, obydwaje robotne! - komentował sołtys z uznaniem, skręta kurząc. - Ale, panie mafister, tam już matula dochodzo...

- Dochodzo... - zgodziłem się ze smutkiem.

- I tatko tak samo nie rucha się!

- Nie...

- Nu to jakoż! - oburzył się. - Pan mafister niechaj coś robi!

- Co?

- A chyćić kołek! O, tera okazja: a zajechać babę w potylice!

- Ja? Kołkiem?

- Nu to chociaż ich rozcepić... rozdzielić!

- A mało to mają okazji, by przerwanego sporu dokończyć? - odparłem. - I to jeszcze straszniejszymi narzędziami...

Zadumałem się głęboko nad tym wszystkim: nad złożonością stosunków międzyludzkich, zawilnością mechanizmów społecznych.

- Maciej jakby nieżywy... - zastanawiał się sołtys. - Macieicha całkiem ucichła...

- Tak, sołtysie... - westchnąłem. - Jest tylko jedno realne rozwiązanie tego wszystkiego: zmienić warunki ekonomiczno-społeczne.

- Warunki? Ykomiczne?

- Zmienić na takie... - powiedziałem, patrząc daleko w przyszłość - w których miedze staną się przeżytkiem bez znaczenia.

- Jezu, zeb jakiego niescynścia z tego nie było! - zaniepokoił się sołtys.

Przeprosiłem, że muszę kontynuować lekcję i, zamknąwszy okno, aby krzyki, jęki, charkoty nie przeszkadzały, kazałem dzieciom zająć miejsca w ławkach.

- Drogie dzieci! - zagałem. - Nie, ja nie będę wam gaworzył o poezji. Dziś dowiecie się, dzieci, co to postęp, co zacofanie... Otóż człowiek zacofany, drogie dzieci, to taki, co żyje po dawnemu: w zabobonach, w nieludzkiej ciężkiej pracy, w brudzie i głodzie! A teraz pójdziemy na wycieczkę: patrzcie, rozglądajcie się i meldujcie, co zobaczycie zacofanego.

Parami poszliśmy drogą wzdłuż rzeki, z początku spieszenie, aby jak najprędzej oddalić się od wulgarnych odgłosów kłótni. Minęliśmy kilka domów i podwórek - wszędzie poniewierały się jakieś półzgniłe beczki, cebrzyki, wiadra... Płoty rozsychały się, rozpadały, kury i prosięta wygrzewały się w piasku, między nimi raczkowały niemowlęta. To tu, to tam drągi wspierały chlewik... Sterczały krokwie z zapadniętego dachu. Walała się wszędzie rozwłóczona słoma, patyki, szmaty. Dla kogoś zorientowanego w problemie wystarczyłoby tu materiału nie na jedno, ale na sto wypracowań o zacofaniu. Moi uczniowie jednakże zetknęli się z tą problematyką po raz pierwszy, nie mieli wprawy. Rozglądali się uważnie, ale bez skutku.

Pierwsza przejrzała na oczy Zosia.

- O, zacofane! - zawołała, wskazując stadko dzieci taplających się z kaczkami w kałuży; jedno i drugie nogi miały pałkowate, krzywiczne, tak że trudno było nie uzbrojonym

okiem odróżnić, co dziecko, co kaczka.

- Brawo, Zosiu, zacofane! - pochwaliłem zdolną uczennicę, dopingując pozostałe dzieci do myślenia. - Co jeszcze widzicie zacofanego?

- Ja zacofany! - pochwalił się Pietrek.

- O! A dlaczego?

- Żyje w brudzie i głodzie! - oznajmił. - Ja jesce nigdy nie najad się do syta!

- I ja! I ja zacofany! I my tyz zacofane! - zapiszczały dzieci, mazurząc, przeciągając, całkiem zapomniawszy nauk swej nauczycielki.

- Jeść nam mało dajo!

- Z postem!

- Wiecznie żur i żur!

- Abo kartofli!

- Mięso tylko na Wielkanoc!

- A ja już taki strasnie zacofany - przekrzyczał je basem Pietrek - ze takiego parsucka jak ten, o... - wskazał wieprzka czochrającego się o płot - zjadłby takiego na raz!

- A ja - całe świnię! - westchnął Kazio s. Łukasza.

- Ja - barana... - rozmarzył się Kazio s. Jakuba.

Klasnąłem w ręce.

- O właśnie, dzieci, widzę, że zrozumieliście, co to zacofanie - pochwaliłem. - A teraz powiem wam o postępie... Człowiek postępowy, drogie dzieci, to taki, co żyje mądrze. Nie haruje tak jak zacofany. Jest czysto ubrany. Żyje wygodnie, nowocześnie... I co: chciałybyście być zacofane czy postępowe?

- A co jędzo postępowe? - zabasował Pietrek.

- Co jedzą postępowi? - Postanowiłem kuć żelazo, póki gorące. - Postępowi jedzą marmoladę, cukier, mięso, jajecznice, kiełbasę, piją oranżadę, fruktowity, soki.

- A śmietanę?

- I śmietanę!

- A kwas?

- I kwas!

- I marmuladę?

- I marmoladę!

- I słoninę jędzo?

- I słoninę!

- Do syta?

- Do syta...

- Dobra, chce być postępowy! - oświadczył grzmiąco Pietrek.

- I my! I my! - poparły go chórem dzieci.

- W takim razie spróbujcie pokazać mi coś postępowego - zaproponowałem, ale natychmiast zdałem sobie sprawę z absurdalności mego pomysłu. No bo cóż postępowego mogły znaleźć w tym mateczniku zacofania ?

- Pan postępowy! - rzekła przymilnie Zosia. Zrobiło mi się nader przyjemnie... No bo w rzeczy samej, prawdę powiedziała. Ale nie na dogadzaniu własnej próżności mi zależało.

- Dlaczego postępowy? - sprawdziłem.

- A bo pan taki cyściutki - wyjaśniła. - I w pantoflach.

- O, postępowy! - zawołał nieoczekiwanie Kazio z naderwanym uchem, wskazując mężczyznę leżącego w chłodku pod gruszą. Grube cbiopisko rozwaliwszy nogi spało z rękami pod głową, chrapiąc donośnie i przez sen prychając na muchy łązące po oczach i nosie. Zatrzymaliśmy się.

- Dlaczego postępowy ? - spytałem Kazia. Chłopczyk, gestykulując zaciśniętymi piąstkami, wygrażając, objaśnił, że tatko jest postępowy, bo je i je, wszystką śmietaną wypija, mleko wypija, jajka wypija, mięso wyjada, słoninę wyjada! Rozpamiętując swą niedolę, biedne dziecko kopnęło rodzica w nogę. Otworzył oczy - zamrugał i usiadł, nieco przestraszony.

- A... - przytomniał. - To pan ucyciel... Dzień dobry...

- Dzień dobry - odparłem. - Taka pogoda, a pan nie w polu ?

- Yy... - skrzywił się, wydłubując jedzenie z zębów. - Baba robi,.. Heę, tego... - mamrotał, pokonując ziewanie. Wtem jednym okiem spojrzął w słońce i, rozejrzawszy się po dzieciach, spytał:

- A nie mógłby pan ucyciel mojego Kaziucka puścić? Krowa rycy w obórcie nie pasiona... Kaziuk, lataj po krowę!

Zaoponowałem zdecydowanie.

- Krowa krową, szkoła szkołą, panie Grzyb. Idziemy, dzieci...

Wieś się skończyła, droga przemieniła się w wąską ścieżynę, która, klucząc wśród traw, ginęła nie opodał w lesie. Dzieci, jakieś zalęknione, zwolniły kroku, wreszcie przystanąły - bały się iść dalej.

- Horpyna... - szepnął Pietrek. Nawet on, chłopak jak tur mocny, ze strachem spoglądał w krzaki.

- To co, że Horpyna! - Uśmiechnąłem się lekceważąco. - Boicie się tej starej,

zacofanej kobiety?

Rozszeptały się strachliwie:

- Ale ona grad sprowadza!

- Ropuchi!

- Krowom mleko odbiera!

- Ona wszystko może... - przestrzegł Pietrek. - Z nią lepiej nie zaczynać, bo urok rzuci.

Zaśmiałem się i ręką dałem znak do marszu, sam idąc na czele. Zatrzymaliśmy się na skraju boru.

Przez gałęzie prześwitywały ściany i strzecha starej chatynki. Wielka korona sędziwego dębu, pamięć tającego zapewne pogańskie czasy, przykrywała chatkę jak zielona czapa. Wśród konarów białe okienko, mętne jak oko ślepeca. Pod okapem suszyły się na kołkach pęki ziół, na pewno odurzających, obok na sznurach grzyby, niechybnie trujące... Przed progiem niedźwiedź rąbał drewno, rozłupywał siekierką bierwiona zamasyście, wprawnie, pomrukując przy tym coś melancholijnego, ni to blues leśny, ni kołysankę ludową.

- To Miszka! - wyjaśniła szeptem Zosia. - Horpyna oswoiła jego sobie i wyuczyła, ta carownica!

Odskokczyłem ze wstrętem - śliski gad przemknął mi po nodze! Zaś w poprzek ścieżki śmignął kret, jeśli nie coś gorszego.

Dzieci po kroku, po pół, cofały się od boru do wioski.

- Nie bójcie się, dzieci! - dodawałem im odwagi. - To wszystko nieprawda. Lud, niezdolny ogarnąć zjawisk przyrody rozumem, wydumywał różne bajki! Próbował opanować nieznaną żywioły modlitwami, gusłami, czarami...

Przerwałem... bo drzwi pisnęły i ukazał się siwy, odrażający łeb wiedźmy: zastukała Horpyna kosturem w próg i, mrużąc oczy przed światłem dnia, pogroziła mi palcem.

- Oj, Maniuś, Maniuś, ty lepiej ze mną nie zaczynaj! - warknęła. - Hej, widzicie, jak zgłupiał w tych skołach? Plecie coś bez rozumu... Nie słuchajcie tego, dzieci! Nie słuchajcie...

Niedźwiedź wbił siekierę w pień - zatarł łapy i, przygarbiwszy się jak bokser, spojrzął pytająco na wiedźmę. Rety, co zrobić, jeżeli zaatakuje? Czy takiego kolosa powalę?

Ale Horpyna zaśmiała się szczekliwie, kaszlnęła dymem i kiwnęła na zwierza.

- Chodź, Miszka, śniadać...

I niedźwiedź, splunąwszy lekceważąco w moją stronę, poczłapał ciężkim gospodarskim krokiem do chaty.

Odetchnąłem... Starając się opanować drżenie głosu, dałem znak do drogi powrotnej.

Polecenia nie trzeba było powtarzać dwa razy, dzieciaki na wyścigi ruszyły do wioski, byle dalej od czarownicy.

- Owszem, niedźwiedź jest niebezpieczny - próbowałem tłumaczyć spłoszonej dziatwie. - Wiadomo, bezrozumne zwierzę. Ale co do czarów... Hm, pokażę i ja wam na lekcjach fizyki i chemii pewne doświadczenia i też będziecie mieli mnie za czarodzieja. A to tylko nauka. Bo nauka, drogie dzieci, nauka i technika, to największe czarodziejstwo, większe niż Horpynowe sztuczki...

Jasio Muzykant podniósł palce, chciał coś powiedzieć.

- Prose pana! - pisał w marszu. - Ja znam jeszcze dwóch zacofanych. Nas tatko i nasa matula zacofane...

Uradował mnie chłopak swoją pojętnością. Pochwaliłem Jasia.

- Tak - potwierdziłem. - Wasi rodzice są zacofani, drogie dzieci, zapamiętajcie to sobie: zacofani. A musimy zrobić z nich ludzi postępowych. I zrobimy!

Potem oznajmiłem koniec lekcji i dzieci się rozbiegły - do krów, gęsi, prac domowych. Ja nad rzekę się udałem, na wydmy, myśli zebrać, plan działania obmyślić szczegółowo. Po drodze minąłem powas-nionych sąsiadów - wyczerpani walką bili się już na siedząco, okładali się niemrawo, zasypiali w pół ciosu. Wszedłem na szczyt wydmy, zdjąłem koszulę, spodnie, słońce od razu dobrało się mi do skóry. A opalaj, pomyślałem sobie, opalaj, tylko mi to na zdrowie wyjdzie. Spod rzęs obserwowałem rzekę: kilkoro wiskusów, smągłych jak Cyganięta, chlapało się w wodzie. Skakały dzieciaki z wierzby na łeb, na pośladki, krzyczały, nurkowały, wypływały z rybą w zębach, istne dzikusy - nieświadome, że tymczasem rozziw cywilizacyjny między nimi a ich rówieśnikami w krajach wysoko uprzemysłowionych poszerza się z minuty na minutę, gdyż kto nie idzie naprzód, ten, w myśl dialektyki, cofa się...

Macieicha pod gruszą dźwignęła się na nogi - odwróciła się do Błażeichy tyłem, zadarła spódnicę i przygięła się... Błażej piachu capnął ręką, sypnął babie po wstydach... I Błażeicha dźwignęła się - chwytając się rękami pnia, powstała jakoś z ziemi - tak samo wypięła się... stały naprzeciwko, zadek w zadek, symetrycznie, gęby im się ruszały między piętami... Pyskowały, ale słabo, widzów ubywało. Maciej Grzyb chwycił Błażeja Grzyba za nos, ciągnął, miętosił - Błażejowi udało się wepchnąć pięść Maciejowi do jamy ustnej. Co robić, od czego zacząć... Wiedziałem, że zastanę tutaj nędzę i zacofanie - ale nie przypuszczałem, że sytuacja będzie tak drastyczna i beznadziejna. Szkołę ciągnąć - to za mało.

Powiedzmy, że jakoś uda mi się zmienić, ucywilizować te dzieci. Ale gdy dorosną -

czyż nie będą, jak ich ojcowie, użerać się o byle gęś, o gruszkę, o skibę ziemi? To nędza, nędza jest rodzicielką ich okrucieństwa. Więc jak wydzwignąć Wydmuchowe z nędzy?

Ktoś stanął nade mną. Odemknąłem oczy. Sołtys.

- A co pan tak leży goły? - spytał z troską w głosie. - Chory pan ? Zasłab ?

- Opalam się.

- Co takiego?

- Opalam się - powtórzyłem.

- A na co?

- Na co ? Żeby być opalonym.

- Jak to: opalonym! - zdumiał się. - Toć słońko samo opala, przy robocie...

Zdziwiło mnie jego zdziwienie... No tak, uświadomiłem sobie, wieśniacy opalania jako takiego nie uprawiają, plażowanie jest dla nich zwyczajem nieznanym. Opalają się bezwiednie, przypadkowo... I stąd ta razowość twarzy, szyi, dłoni, brązowość łydek u bab i dziewczyn - a także owa rażąca biel, prawie siność brzuchów, pleców, ud, gdy obnażą się do kąpieli.

- Nu a co z tego, że opalone? - dociekał sołtys. - A może rząd płaci panu mafistrowi za to opalanie? Do pensji dokłada? Co?

- Nie... Ja się opalam dla przyjemności. Normalnie, jak wczasowicz.

- Wczasowicz? - zaciekał się. - A kto to: wczasowicz ?

- To taki, co kąpie się w rzece, opala się, wyleguje na plaży...

- Na czym?

- Plaży. To kawałek ładnego piasku nad wodą. Ot, choćby taki jak ta wydma...

Wtem myśl olśniewająca, genialna myśl przeszła mi mózg!

Zerwałem się, otworzyłem oczy szeroko.

- Już wiem! - zawołałem, ręce same uniosły mi się do góry tryumfalnie. - Już wiem!

- Co takiego? - przestraszył się sołtys.

- Już wiem, sołtysie, wiem jak! Skończy się bieda i zacofanie! Koniec ze starym Wydmuchowem: nowe czasy, nowa era!

Na moje wezwanie przyjechał z Powiatu, rowerem, doświadczony aktywista, taki, co to zęby zjadł, gardło zdarł na akcjach uświadamiających w środowiskach zacofanych. Przywiózł parę gazet, zachłannie czytałem wiadomości z kraju i świata: o klęskach interwencji, sukcesach ochotników, zagospodarowywaniu ugorów, o budowie nowych hut.

Wyszliśmy przed szkołę. Delegat, pół stojąc, pół siedząc na ramie roweru, rozglądał się po okolicy. Jeden rzut oka na chaty i na tubylców wystarczył mu, by określić stan tutejszej kultury materialnej i duchowej.

- Cepy, co? - rozpoznał bezbłędnie odgłosy ze stodół. - Żarna, sierpy, motyki?

Pokiwałem głową potakująco.

- Zapałki na czworo? - stwierdził, spojrzawszy na dymy nad chatami.

- Na czworo...

Nosem pociągnął, zapachy próbując kuchenne.

- W raz solonej wodzie gotują kartofle trzykrotnie?

- Tak. Na soli oszczędzają.

Spojrzał na dzieci w podwórzu.

- Boso albo w ojcowych butach? Zimą na przy pieckach ?

- Albo w workach z sieczką.

- Ech, prymityw... A jedzenie? Ze wspólnej miski?

- Drewnianymi łyżkami.

- Spanie po sześcioro w łóżku?

- Niestety... Starcy z niemowlętami. Płeć z płcią...

- A jak... - przerwał pytanie, papierosa na pół przełamał, zapalił. - Jak się przedstawia sprawa umierania noworodków?

- Kiepsko.

- Wypędzania starców na żebry?

- Tragicznie.

- A bójkę o miedzę? Jak przelewy? Bardzo krwawe?

- Średnie...

- Wesela? Zabijalność?

- Dwa, trzy trupy rocznie.

- Nożami?

- Sztachetami, drzewo tu tanie.

- A usamogonnienie?

- Wysokie.

- Problem zabobonów i guseł?

- Nabrzmiwa, niestety.

Pokręcił głową stroskany. Zaciągnął się, puścił dym nosem

- A klerykalizm? - ciągnął wywiad. - Kwitnie?

- Zwłaszcza wśród kobiet.

- A analfabetyzm, ta smutna spuścizna szlacheckiej Rzeczypospolitej?

- Zwalczam. Ustępuje. Ale wolno.

- Niedobrze... Niedobrze... - Zamilkł, analizował, wyciągał wnioski. - No, ale dość kwękania! - zdecydował. - Zaczynamy.

Myślałem, że najpierw zwołamy chłopów na zebranie. Ale delegat, stary gracz, postanowił zastosować inną technikę agitacji. - A chodźcie no tu - rzekł do sołtysa. - Będziecie namawiać chłopów do elektryczności.

- Ja? - Sołtys podrapał się w strąki pod kapeluszem.

- Z nami. We trójkę.

- Hy... Jak ja mam namawiać, jak ja sam nie namówiony!

- Nie szkodzi, sołtysie, nie szkodzi - pocieszył go delegat. - Namawiając innych, sami w końcu uwierzycie, w co namawiacie. A zresztą... - Machnął ręką. - Wielu robi, w co nie wierzy. I robią jeszcze lepiej, niż gdyby wierzyli.

- Nu, spróbuję - wyznał sołtys.

Rozpoczęliśmy akcję od ostatniej chaty, Błazejowej.

- Panu mafistrowi to ja by nie radził do stryja zachodzić - ostrzegł sołtys.

- Dlaczego? - zaproponowałem odważnie.

- Chiba co z siekierko... - rzekł.

Nie, nie wziąłem siekierki, są lepsze sposoby uświadamiania niż siekierka czy rewolwer. Niestety, nie pozwolił stryj Błazej ich wypróbować. Oto gdy dzieci doniosły mu, że idą ucyciel z sołtysiem i jakimś urzędnikiem, a urzędnik ten ma rower, zaś na rowerze żółta teczka dynda - Błazej z żonką zamknęli się w chacie, drzwi do sieni kołkiem podparli i nie odpowiadali na nasze ni prośby, ni groźby, ni apele.

- A to zakała! - rozzłościł się delegat. - Za pamiętajcie go, sołtysie...

- Chi, chi, chi! Zakała! - ucieszył się sołtys. - Zapamiętam! Zakała!

I rzeczywiście, zapamiętał słowo, puścił po wsi i, o dziwo, wnet przyłgnęło ono do Błazeja jako przezwisko. Prawdę mówiąc, był to jedyny pożytek z naszej u stryja wizyty.

Następne podwórze należało do Grzyba Macieja. Weszliśmy.

Stary właśnie w stodole cepem dudnił - pochylił się i otłukiwał siarczyście słomę poniewierającą się na klepisku, kury krążyły czujnie, wydziobywały na wyścigi odpryskujące ziarnka. Stał tyłem do drzwi i światła - gdy nas zobaczył, na ucieczkę było za późno. Zdrętwiał - zwłaszcza widok roweru i teczki go poraził. Rozkraczył się - pochylony, napięty, patrzył na nas spode łba jak osaczony dzik. Wiedział, że za chwilę go zajadą, nie wiedział

tylko, z której strony.

Delegat wyciągnął doń rękę - Grzyb na to odstąpił krok do tyłu, mocniej ścisnął drzewce.

- To nie ja! - krzyknął na wszelki wypadek. - Ja niewinny! To Błażej!

- Sprawa jest taka, panie Grzyb - zagał delegat. - Postanowiliśmy zelektryfikować Wydmuchowo.

- Dla waszego dobra - dodałem.

- Życie wasze stanie się lżejsze, wygodniejsze, szczęśliwsze - ciągnął delegat. - Zamiast cepa - młocarnia. Zamiast rąk - silnik elektryczny. Elektryczność będzie wam młócić, mleć, sieczkę rznąć, drzewo piłować, koszule prać i prasować. Radio wam będzie przygrywało. Jasna żarówka zaświeci... Proszę, tu jest lista, podpiszcie, że zgadzacie się na elektryczność.

I delegat wyciągnął doń listę i ołówek.

Grzyb odstąpił dwa kroki. Zasłonił się cepem.

- Nie podpise! - warknął.

- Nie?

- Nie!

- Ach, tak... - pokiwał głową delegat. Wtem oczy zmrużył, groźną miną się przyoblekł. - Nie podpiszecie? To ja was... - sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął długopis i notes. Notes otworzył. - To ja was - zapiszę!

Chłop zdębiał. Zbladł na płótno...

Ech, majster był z delegata, wirtuoz! Wspaniale zaszedł Macieja: wiedział, że prosty lud panicznie boi się wszelkiego zapisywania - boi się lud zapisywania, bo nie wie, czym się ono skończy: turnią, pójściem w żołdacy na ćwierć wieku czy zsyłką na Sybir. Aby ten strach przed protokołem, podpisem, urzędami wypłenić z krwi chłopskiej, trzeba niejednego pokolenia.

- A tak, zapiszę - rzekł delegat i długopisem dotknął notesu.

Grzyb padł na kolana.

- Nie zapisujcie, panie! - jęknął. - Bijcie, rznijcie, ale nie zapisujcie...

I po rękach chce całować... okropne to, okropne, ta chłopska bezradność i naiwność, odwieczne klękanie - przed Panem Bogiem, przed dziedzicem, przed byle czynownikiem.

Podniosłem wieśniaka z klęczek, delegatowi dałem znak ręką, żeby zaczekał.

- Nie jesteśmy dziedzicami, nie trzeba przed nami klękać! - skarciłem wieśniaka.

Z nadzieją, wpatrzył się we mnie.

- Zmiłujcie się... - stęknął.

- To wszystko dla waszego dobra - zacząłem łagodnie, przyjacielsko. - Dla waszego szczęścia...

- Nie - pokręcił głową. - Nie potrzebuje...

- Maszyn nie chcecie? - ciągnąłem. - Światła? Żarówka wobec lampy naftowej to jak dzień wobec nocy...

- Kiej ja z lampo kce... Po krześcijańsku.

- Z żarówką inne życie, człowieku! - Ni ma la mnie życia bez lampy!

- Zobaczycie świat na nowo, innymi oczyma. Podpiszcie...

- Zwolnijcie!

- Gazety zaczniecie czytać.

- Zwolnijcie, prose! Ja wam kopę jajkow ochwiaruje.

- Książki...

- Kilo maku!

- Radia będziecie słuchać...

- Ja mse zamówię na wase intencje!

- Nowe horyzonty...

- Ja sarwarkiem odrobie, tylko zwolnijcie! Groble usypie...

- Nowy smak życia...

- Kilometer drogi wybrukuje!

- Dołączcie, Grzyb! Epokowe zmiany nadchodzą. Przebudowa moralności!

Przekształcanie przyrody...

- Jędrzeju! - zawołał Grzyb rozpaczliwie, ręce składając przed sołtysem. - Weźcie te elektrykę dwa razy: za siebie i za mnie! Ja wam będę odrabiał oraniem, do śmierci! Ze swoim koniem! Dwa dni w tygodniu !

- Nie, Macieju, kozdy musi za siebie - nie dał się skusić sołtys.

- Jezu, Jezu... - rozpaczał Grzyb, ręce wzniosłszy do góry.

Ale delegat zniecierpliwił się. Nogą tupnął.

- Dość tego lamentu! Pytam się po raz ostatni - podpiszecie czy nie?

Z długopisem w prawej ręce, z otwartym notesem w lewej czekał groźnie.

- Zwolnijcie, bo sobie co zrobię! - jęknął Grzyb. - Żonkę utopie! Chatę podpale!

Całe wioskę z dymem pusce!

- Więc nie podpiszecie? - spytał delegat.

- Nie!

- Dlaczego?...

- Bo... bo ja... - jękał chłop. Wtem się rozjaśnił, roześmiał się z uJgą: - bo ja pisać nie umie!

- Nie szkodzi... - delegat na to. - Krzyżyk postawcie.

- Krzyżyk?

- Krzyżyk!

- Jak to: krzyżyk?

- Krzyżyk wystarczy. Aby waszą ręką.

Podsunałem Grzybowi listę i ołówek. Ale chłop pokręcił głową.

- Nie postawię...

Nie wiadomo, jak by się potoczyła akcja, gdyby sołtys nie pomógł znienacka.

- E, Macieju, krzyżyka odmawiacie cłkowi? - spytał zgorszony. - Co wy, Boga się nie boicie?

- Boga?

- Krzyżyka odmawiac cłkowi - grzech, Macieju...

- Jezu, krzyżyka! - przeląkł się Maciej.

- Grzech, i to jaki! - postraszył sołtys. - śmiertelny! A to nie wiecie: krzyża nie das w potrzebie, nie bedzies w niebie!

- Nie bedzies! - powtórzył Grzyb, martwiejąc.

- Jak Kuba Bogu... - zaczął sołtys, Grzyb dokończył:

- Tak Bóg Kubie...

Cepisko wymsknęło mu się z dłoni. Podetknąłem papier i ołówek, palcem wskazałem miejsce, gdzie ma się podpisać.

- Nu tak... - mamrotał wieśniak - krzyża odmawiac?... Toć ja nie ancykryst... Jezu...

Drżącymi paluchami krzyżyk wyrysował. Delegat mrugnął do sołtysa z uznaniem.

- No, mamy sposób na nich wszystkich - podsumował, gdy wyszliśmy na drogę. I poklepał go w pierś, w to miejsce, gdzie przypina się ordery.

- Hę hę hę! - śmiał się sołtys, rad z uznania. - Do wieczora wsytkich oblecim, nie ?

- Oblecim! - przytaknąłem. I uściśnąłem mu prawicę. Rad byłem wielce. Oto nieoczekiwanie wyrósł mi pod bokiemy aktywista, tym cenniejszy, że miejscowy. Delegat odjedzie, ale ja nie będę już sam w Wydmuchowie.

Tylko przy nazwisku Grzyba Błażeja nie udało się uzyskać krzyżyka. Długo

zastanawiałem się, co począć, aby Zakałę z ciemnoty wyrwać, do postępu zachęcić, ośmielić. Robotnicy przerąbywali już drogę przez puszcę, rozwozili słupy, wieś huczała od plotek o elektryczności, a on ? Zamknął się w stodole, cepem dudnił, z nikim gadać nie chciał. Co do mnie, zapowiedział, żebym się nie ważył wstąpić na jego podwórze, bo mi łeb siekierą rozwali... Jak do niego dotrzeć? Jak uświadomić albo chociaż oświecić...

Wreszcie postanowiłem zaatakować go publicznie, to było najbezpieczniejsze. Przygotowaliśmy z ucznia-karni widowisko sceniczne, ja teksty napisałem, ostre, bezkompromisowe. Sołtys udał się do Zakały i uroczyście zaprosił na przedstawienie.

- Wase dzieci, Błazeju, bedo najwazniejse, co to, swoich dzieciow nie chcecie obacyć? Kumedyjke bedo przedstawiali! Nu przydźcie, ocy naciesycie...

Co prawda miał Zakała już tylko jedno oko, a i to półślepe, jednak dał się skusić. Przyszedł. Niedziela była, pora popołudniowa, ludzi zwałiło się tyle, że nie starczyło miejsca w szkolnej izbie. Przyszli Grzy-bowie, ich w Wydmuchowie najwięcej, dziewięć domów. Przyszli obydwaj Lipkowie. Przyszedł Wyprostek. Innych widowisk, jak wesela, chrzciny, pogrzeby, nie oglądali i ciekawi byli, co też „mafister” i „skolniki” pokażą.

Nad scenką widniało hasło: ZBUDUJEMY WYDMUCHOWO - NOWOCZEŚNIE, POSTĘPOWO! Na scenie, z kilku desek skleconej, Zakałęta szykowały się do występu: Janko stroił skrzypce nowe, z miasta przywiezione, braciszkanie powtarzali półgłosem teksty. Ładnie wyglądali w białych koszulinach i jaskrawych krawatach.

- O, tatko! - ostrzegł braci Pietrek, widząc zasiadającego Zakałę. - Tatko przysli!

Zakała usiadł w pierwszym rzędzie na honorowym miejscu, przy sołtysie, swoje jedyne oko wytrzeszczył zachłannie. - Synki moje, chwaty moje! - mamrotał, wypatrywszy chłopców na scenie. Policzył, że wszyscy są, cała szóstka, i rozsiadł się, rozwalił pysznie. Ojcowskie serce dumą napaść obiecywał sobie.

Dzieciaki zaprezentowały najpierw rozpisaną na scenki krytykę starego Wydmuchowa: o zacofaniu było, o biedzie, nędzy, zabobonach, analfabetyzmie. Recytacjom wtórował na skrzypcach Jasio, ilustrując tekst konserwatywnymi, ludów z religijnymi motywami. Na uczyłem ludzi klaskać - przyjęło się - brawami i śmiechem nagradzali artystów. Zakała też klaskał - nie teksty, ale dzieci swoje, Zakałęta., oklaskiwał, bo choć małe jak on, z rzadkimi zębami jak on i sepleniące jak on, ładnie wyglądały w białych koszulinach, ostrzyżone, umyte. Recytowały głośno, ochoczo. Łzy ocierając, wieśniak poszturchiwał co chwila sołtysa. - Widzicie, Jędrzeju? Widzicie? Chwaty moje...

Wreszcie Janko wystąpił naprzód i zagrał wiązaną podstawowych hymnów zachęcających do Przebudowy Świata. A gdy skończył, stanął przy nim Pietrek - rosły,

zdrowy. Mocnym młodzieńczym głosem oznajmił zuchwale:

Zbudujemy Wydmuchowo,
Nowocześnie! Postępowo!

A Jasio:

Wypędzimy ze wsi widma i zmory

A drugie Zakałę:

Zagrają radia oraz traktory!

A trzecie Zakałę:

Wydamy wojnę błotu, roztopom!

A czwarte:

By chodzić suchą, wysoką stopą!

A piąte:

Obiecujemy z twarzą radosną

A Pietrek, szósty:

Wyzwolić Ziemię i zdobyć Kosmos!

Tu pauzę zrobili i efektowna cisza zapadła. Słysząc było tylko szeptać wniebowziętego
Zakały: - Dzieci moje - sepleniał wzruszony. - Chwaty moje... Jak aniołki! Jak ministranty!
Będę ich uczył wyżej... Na księdzów wyuce... Wsytkich...

I wtedy, na mój znak, Jasio oznajmił ciekawym głosem:

Ale bywają jednostki tępe,
Co wcale nie chcą iść za postępem I

Po czym dołączyli braciszkanie. Unieśli w górę prawe ręce, zacisnęli je w pięści. Całą szóstką, zdecydowanie, pod wodzą basującego Pietrka, wyrąbali chórem:

I w Wydmuchowie jest jedna taka
Owca parszywa, czyli pokraka!
Ciemniak półślepy i nie domyty!
Kułak zajadły, wróg nieużyty...

Obserwowałem Zakałę - czy domyśla się aluzji. Na razie patrzył w dzieci urzeczony - gębę z rzadkimi zębami rozdziawił w zachwyceniu, łyzy mu ciekły po policzkach. - Robacki moje - mamrotał. - Aj, chwaty... Ksiedzami, księdzami będziecie... - A oni . zstąpili na sam skraj sceny i wyciągnęli ręce wskazując Zakałę, paznokciami dotykali ojcowego nosa. I oznajmili bezkompromisowo:

On to nienawiścią do postępu pała!
Zwie się Grzyb Błazej, czyli Zakała!

Dopiero teraz, teraz dopiero pojął zacofaniec, o kim się tu mówi! Wyrzucił ręce do góry, a spomiędzy jego żółtych i rzadkich zębów wysliznął się skowyt: - Aaa i Aaa!

Był to niewątpliwie odgłos klęski, coś się w nim musiało załamać - wydawało mi się, że to osławiony chłopski upór pękł z trzaskiem. Zakałęta pchnęły ojca energicznie, a gdy spadł pod ławę, wygłosili zakończenie:

Leć pod stoł, Zakało! Leć, trutniu, pod nogi!
Albo ruszaj z nami, albo fora z drogi!

Ukłoniły się... ja zaklaskałem entuzjastycznie, bo świetnie, nadspodziewanie dobrze zadebiutowały! Sołtys też zaklaskał... - O, pan ma głowę, panie mafister - rzekł z uznaniem - i do składu było, i do ładu... - Wstałem, żeby ukłonić się, podziękować publiczności. Ale Zakała wszystko zepsuł. Zerwał się, rękami zamachał.

- Aaa! - zawył. - A wy, hady. Wyrodki wy, absalony! Pozabijam! Zgładze! Potopie! -

darł się, nie zważając na podniosły nastrój widowiska.

- Ależ, panie Zakała... - zacząłem, aby go uspokoić. Ale gdzie tam!

- To ty, ty, twoja robota, judaszu! - jęknął i jak żbik skoczył mi do gardła, zeszyt z tekstami wytrącił z ręki, kopnął, za klapy schwycił, szarpnął. - To ty, bandyto, ty! - charczał, usiłując mnie powalić na ziemię i zdeptać. - Uch ty, Maciejowe nasienie, bodajby cię piekło pochłonęło! Taki sam ty bandyta i złodziej, jak twój ociec!

- Co ? Ja złodziej ? - zerwał się Maciej nie mogąc znieść publicznej potwarzy. - Sameś złodziej! - huknął i skoczył mi na pomoc, zresztą w porę, bo oszalały Zakała ucapił mnie za ucho i byłby okaleczył, gdyby nie Grzybowa odsiecz. Wnet i sołtys dołączył: we trójkę wypchnęliśmy półszalonego, wierzgającego reakcjonistę za okno - zrobiliśmy to sprawnie, no bo co trzech, to nie jeden.

- Dostyc twojego panowania, zgnyzie! - rzucił Grzyb za okno, do bezradnego Zakały. - Wspólnie to my zniszczym cię jak żabę! Ja tera nie sam, judasu!

- Psiamać, kułak jeden! - sapał sołtys, oglądając ponadrywane rękawy. - A może by tak jego podatkami?

- Yy, do tiumry od razu takiego wroga! - radził Grzyb mściwie. Zoczył Zakałęta na scenie, przestraszone, zdezorientowane.

- A może i tych zaodrazu przeświecić? - zaproponował, rozgrzany zwycięstwem.

Zgnębiony Zakała awanturował się pod oknem.

- Pietrek! Jaśko! Ces'ko! Do domu, hady, do roboty! Do krów, do pługa! Ni ma dla was skoły! Do domu!

Dzieci posłusznie przepychały się ku drzwiom, Janko pochlipując wylazł przez okno. Nie wiedziałem, jak je ratować. Ludzie szeptali, ponurość mieli w oczach! A tak ładnie się zaczęło, rozkręcało... Ten Zakała, okropny Zakała... wszystko popsuł.

Jedno tylko trzeba było zapisać na zysk: to że Grzyb do nas dołączył. Oto schylił się, zebrał kartki z podłogi.

- Nie bój się! - powiedział, wręczając mi sponiewierane teksty. - Nie damy się!

- Ja z wami! - rzekł sołtys. I poczułem się jakiś ważniejszy, silniejszy. Ech, prawda to wielka: co trzech, to nie jeden! Tylko zespołowo, ramię przy ramieniu, tylko wspólnie można coś naprawdę zdziałać.

Akurat w pierwsze przymrozki przybyli do wsi dwaj robotnicy i wzięli się za instalacje w chatach. Szło im sporo, zresztą nikt nie dał sobie wmusić więcej niż jeden punkt

światlny w chacie. A chat w Wydmuchowie wszystkiego dwanaście. Tydzień - i było po robocie. Wyjechali i wtedy zaczęło się najgorsze: czekanie na podłączenie do sieci. Niewiadome rozpałało ciekawość, jątrzyło wyobraźnię. Najdziwniejsze legendy opowiadano o „elektryce”, oczywiście, nie przy mnie. Ale od tego tylko, co przekazywali mi Maciej i sołtys, włosy stawały dęba. Jak było do przewidzenia, najzacieklej pyskował Zakała.

- Ta elektryka to ino początek, chłopy! - wywodził, z siekierą w jednej, różańcem w drugiej ręce. - Za rzeko opowiadaj o, ze oni najpierw wcisno te elektrykę, a potem zgonio wsytkich pod jeden dach i zrobio spolny kocioł!

- Spolny kocioł? - dopytywali się ludzie, panikę mając w oczach.

- A tak! Spoiny kocioł, spoinę miski, spoinę żonki, spoinę dzieci!

- Żonki spolnę? - nie dowierzali.

- Spolnę! - zapewniał. - Tak samo spolnę zrobio koni, krowy, stodoły, pola. Nie będzie bogatych i biednych - wsytkie bedo biedne!

- Jezu!

- A wioskę ogrodzo kolącym drotom! - dodawał. - Nigdzie jeździć nie będzie možno.

- Jak w więzieniu?

- Jak w więzieniu! I modiić się zabronio, i chrzcic nie będzie možno! A spowiadać się trzeba będzie przed wsytкими, na zebraniach.

- Jezu, Jezu... - lamentowano, ręce załamywano. A ten wichrzyciel latał, gadał, kręcił. Nie było bzdury, w którą by sam nie uwierzył, oszczerstwa, którego by nie powtarzał.

Kiedy dostałem wiadomość, że w sobotę Elektrownia podłączy Wydmuchowo do sieci, i powiedziałem o tym sołtysowi, a ten puścił wieść między chaty, od razu pierwszej nocy przyśnił się Zakale powstanie: na słupie siedział, szablę miał - nakazywał osadzać na sztorc kosy i robić powstanie.

- Powstanie? - dopytywali się ludzie. - A nie mówi, przeciw komu?

- Mafistra zgładzić, Macieja podpalić i sołtysa wygnąć z wioski - informował z namaszczaniem Zakała.

Cały dzień dowodził, że „mafistrowe rządy” niedługo potrwają: o Merykanach plótł, atomówką pocieszał, stonkę po polach rozrzucał, wrogą propagandę siał.

Cuda się zaczęły.

Maciejowej ukazała się Matka Boska: stała koło wierzby i płakała. „Cego placecie?” - spytała Macieicha. „Bez te elektrykę płace...” - odpowiedziała Matka Boska.

- I co ? - dopytywali się ludzie.

- I nic - wzdychała Macieicha. - Rozwiało się. Malwina jakoby widziała nocą na

Wilczych Dołach upiora (ha, ciekawe tylko, co ona tam robiła, na Wilczych Dołach, nocą!). Szedł szeroko rozkraczając nogi, słupolazy miał na piętach, „sklanki”, czyli izolatory zamiast oczu i obcęgami zamiast zębów. Kiedy Malwina się przeżegnała, rzekomo upiór zaśmiał się piekielnym śmiechem, a potem wystrzebiło, błysnęło i zginęło...

Wreszcie przyszła owa sobota. Poczekałem do zmierzchu, aby żarówka błysnęła efektowniej... przekręciłem kontakt: rozjaśniło się w izbie, Maciej, Macieicha, sołtys zmrużyli oczy.

- Ho ho! - pochwalił sołtys. - Taka nieduża bombka, a jaka widna!

Przekręciłem - zgasło. Jeszcze raz przekręciłem - zajaśniało! Spodobało się to wielce Maciejowi. Sam spróbował: zapalił... zgasił... zapalił...

- Komedia! - cieszył się. - Nu patrzajcie: pstryk i świeci! Pstryk i ni ma!

A sołtys pobieżał do siebie, swoją żarówkę i swój „pstryczek” wypróbować.

W innych chatach, niestety, jak dawniej ćmiły się lampy naftowe. Ludzie żalowali grosza na żarówki. I nawet kiedy za własne pieniądze kupiłem im dwanaście żarówek, nie przeszli na oświetlenie elektryczne. Pobawili się kontaktami, podziwowali - i skończyło się.

Oto Zakała puścił po wsi, że elektryka to „pański wymysł”, że lampa „w rok nie napali tyle, co ta elektryka w tydzień” i że „bez tej elektryki wszystkie z torbami pójdziem...” Na nic zdały się moje perswazje, wyliczenia ołówkowe. Po pierwsze, nikt mi nie wierzył. Po drugie, nikt nie chciał mnie słuchać, kiedy tłumaczyłem dobroczynność i opłacalność energii elektrycznej. Tak, łatwiej zelektryfikować chaty niż umysły.

Zawziętemu Zakale przyszła w sukurs Horpyna. Wiedziałem, że chodzi, szepcze, straszy, przestrzega. Ale raz podsłuchałem jej rozmowę z Grzybichą. Niechcący. Otrzymałem właśnie z Powiatu materiały na temat błędów i wypaczeń - przeczytałem... Wstrząśnięty, leżałem w łóżku, rozmyślałem, przeżywałem. Ponieważ nie zapaliłem światła, baby sądziły, że nie ma mnie w domu.

Właśnie rozkaszła się Grzybicha i zaraz doleciał przez drzwi głos inny, starczy, skrzekliwy. Bez trudu poznałem Horpynę.

- O, kasles! - zaskrzeczała. - A ty wieś, czemu tak kasles ?

- Cemu, babko? - spytała Grzybicha.

- A bez tej, o, elektrycznej lampki. Co to, nie wieś, Macieicha, co od tej elektryki suchoty się robio?

- Co wy, babko, gadacie! Suchoty?

- A tak, suchoty! - tłumaczyła wiedźma perfidnie. - Starym suchoty, młodym - kołtun!

- Kołtun?!

- I wsawica! I świerzb do tego!

- Jezu!

- A dalej: ospa. I tyfus...

- Nawet tyfus?!

- Zęby to tylko... I jesce jaglica, krzywica... Ale to jesce nie wsytko. Najgorsa: ślepotą. Cy tobie, kobieto, ocow nie skoda? Przy lampie do śmierci bedzies widziała. A przy elektryce? Rok nie minie, a bez okularów nawet chaty swojej nie obacys.

- Jezu! Prawdę gadacie?

- Toć opowiadajo, co w miastach się robi. Prawie kozdy okulary ma. A od czego to, jak nie od tej elektryki?...

- Taka ona strasna?

- Mężczyzny mocy nie majo do babow bez te elektrykę... Baby nie rodzo... Najwięcej jednego dzieciaka, nu, casem dwa... Dziewcęta głupiejo. Wstyd panieński zatracajo, gołe chodzą...

- Gołe? Ratuj, Matko Boska!

- Tak opowiadajo te, co w świecie byli. Spytajcie się swojego mafistra. Ale cy on prawdę wam powie? Toć on sam faryzeus... A od czego? Tak samo od tyj elektryki...

- Jezu! - jęknęła Grzybicha. - Dzie lampa? Lampę zapale!

O, tego było już za wiele. Zerwałem się z łóżka., skoczyłem w drzwi.

Lampa kopcila się już na ścianie, przy piecu Grzybicha miesiła ciasto na chleb...

- Gdzie ona? - spytałem nienawistnie.

- Kto?

- Horpyna!

- A dzież ma być ?

- A to nie gadała przed chwilą z wami?

- Horpyna? - zdziwiła się kobieta. - Oj, coś przesłysało się panu mafistrowi...

Wybiegłem na dwór, na drogę. Ale nikogo w jesiennych ciemnościach nie było. Wiatr tylko poświstywał w gałęziach drzew i na drutach elektrycznych.

Zimny deszcz siepał po kołnierzu, po policzkach. Sylwety chat czerniały w mroku jak zwierzęta.

Ciarki sypnęły mi się po grzbiecie!

Straszno się zrobiło, niesamowicie! Posepnie... Bo czyż jest coś straszniejszego, posepnie j szego niż dżdżysta ciemność i poświstujący wicher nad głową., rozkisłe kałuże pod nogami - niż jesienny wieczór w śródleśnej zacofanej wiosce ?

O, skarbnico mądrości!
Arko przymierza!
Druhu złoty...
Skrzyneczko cudowna!
Prostopadłościanie uświadamiający!
Przyjacielu z pięcioma pokrętłami...

Głos bym stracił na daremnych prośbach i apelach, czaszkę ołysił, serce zadreńczył, życie zmarnował, gdyby nie twoja, przyjacielu, siła magiczna, moc czarodziejska! Gdybyś nie ukazał wydmuszanom czarnoksięskiego oblicza twojego...

Wieść o tajemniczej skrzynce, którą ja i sołtys przywieźliśmy z Powiatu, lotem błyskawicy obiegnęła dwanaście chat wydmuchowskich. Przyszedł Wyprostek. Przyszli obydwaj Lipkowie. Przyszło ośmiu Grzybów z żonami i dziećmi. Tylko stryj Zakała uroczystość zbojkotował: zamknął się w chacie z babą i dziećmi jak wilk w jamie. Nawet Horpyna, choć jej nikt nie prosił, przyszła, Z pięćdziesięcioro par oczu obmacywało ciekawskimi spojrzeniami zagadkowy aparat w kątku na szerokiej desce.

- I co to za skrzynecka? - szeptano.

- Y, kuferecek jakiś...

- Abo komoda...

- A co to sklanne takie?

- Jakby lusterecko...

- Jezu, a może to harmata!

- Wystrzeli, nie daj Boże!

- Pozabija!

Sprawdziłem wtyczki, kontakty. Stałem przy aparacie. Klasnąłem w dłonie.

- Drodzy wydmuszanie! - zacząłem uroczyście, świadom wielkości chwili. - Ogłaszam, wydmuszanie, koniec starej ery, ery jałowych dni i wieczorów. Koniec wioski deskami zabitej. Oto przed nami cudowne okno na świat: na cały świat współczesny. Panie Jędrzeju! - zwróciłem się do sołtysa. - Proszę dokonać uroczystego włączenia.

Sołtys, błydy ze strachu, czerwony od zaszczytu, stanął przy aparacie. Przeżegnawszy się, położył palec na klawiszu.

- Proszę wcisnąć, panie sołtysie! Śmiało!

Cisza zapadła niezwykajna, przeraźliwa... Słyszałem swoje serce... dudniło w

piersiach jak młot...

Sołtys zamknął oczy - pstryknęło - to włącznik pstryknął!

I wtedy zgasił światło...

Ciemno się uczyniło, ciemno i przeraźliwie.

Nie oddychano, serca zamarły. Ktoś pod oknem jęknął: - O Matko Boska... zmiłuj się!

Ktoś zaintonował „Pod Twoją obronę...” - izba podchwyciła nabożnie: „Uciekamy się!...”

Lecz przy słowach „ale od wszelakich złych przygód racz nas zawse wybawiać, Panno Chwalebna i Błogosławiona”, zahuczało w aparacie, ekran zajarzył - ludzie ucichli jak spiorunowani... wtem ściśnięte gardła wydały pierwsze okrzyki zachwyty:

- Rusa się cosik, o Jezu!
- Cłek jakby?
- Cłek!
- Goły!
- O, i baba!
- Ale chuda!
- Rozdziewa się!
- Bez wstydu!
- I majtki! - zażądali mężczyźni.
- Ej ty, nie chłop ty?
- Na co cekas!
- Właz!
- O, włazi!
- Przy ludziach! Swynia! - zgorszyły się baby.
- Wstydu ni majo!
- Sodoma gomora!
- Ale duje! - podziwiali mężczyźni.
- Duj, duj j o, kurwę!
- Za dupę! Za dupę!

Był to francuski film obyczajowy, zaledwie średniej klasy, jednakże wieś reagowała żywiołowo, wrzaski entuzjazmu krzyżowały się z jękami zgorszenia, temperatura wyładowań wskazywała, że pierwsze starcie Nowego ze Starym pociągnęło w tych umysłach nie lada rozdarcie! Zabobon, pruderia, religianctwo puszczały w szwach - ale nie bez bólu.

- Ale chuda! - wołali mężczyźni.

- Swynia! - krzyczały kobiety. - Swynia nieskrobana!
- Hańba!
- Chwat! Jesce raz, od nowa! - podjudzali mężczyźni.
- Ej ty! Jesce raz! Popatrzym!
- Co, skończyli?
- Nie bedo?
- Gadajo...
- E, już ubrane...

Tak, już ubrani, już idą ulicami Paryża. Wielkomiejski tłok na chodnikach, tysiące samochodów na jezdniach, rozgardiasz klaksonów i rozmów, kwiaciarki, wystawy. Grzybom, Lipkom, Wyprostkowi wydłużyły się szyje.

- Ależ miasto! - komentowali zadziwieni.
- Ale domy!
- Pod same niebo!
- Samochody! Ile ich ?
- Jak wróblow na rzysku!
- Ale sklepy!
- Sklep na sklepie!
- Ileż tu dobra! Ile jedzenia!
- O, restauracja!
- Aj, jędzo! Mięso!
- Śledzi! Marmulade!
- Popijajo...
- O, graj o im! Śpiewajo!
- I tańcujo!
- Ależ zyjo! Ale sobie ludzi zyjo!
- Jak w Amerce!
- Jak w niebie!

Moment był stosowny: wyłączyłem aparat, zapaliłem światło. Kilkadziesiąt gąb trwało w rozdziawieniu, dwa razy tyle oczu wpatrywało się we mnie jak w czarnoksiężnika... wiedziałem, że odtąd mają mnie za wszechmogącego maga, że poszliby teraz za mną wszędzie: w ogień, wodę i ctióby na kraj świata.

- Cemu zgasone? Zapalić! - doptaszali się. - Panie mafister, włączyć! Jesce! Jesce chcemy! Co oni jedzo? A może znowuś porozdzielali się! Włączyć te bajkę!

- Szanowni wydmuszenie! - zacząłem głosem uroczystym. - To nie było przewidzenie ani sen, ani bajka. Oto zobaczyliście, jak ludzie żyją. Bogato, swobodnie, nowoczesnie!

Odczekałem chwilę, by w natężoną ciszę rzucić:

- I my będziemy tak żyli. Tu, w Wydmuchowie!

Cicho, cisza aż dzwoni. Sołtys podnosi nad głową słynną spracowaną chłopską rękę, aż zatrzęszczała w stawach, i zapytuje jękając się z niedowierzania:

- M-my? N-na t-tych p-p-piaskach ? N-nieemozebne!

- W biedzie my zrodzone, w biedzie i pomrzem! - zawołał Grzyb Maciej.

- Tak, taka już woła boska! - zaszemrała sala. - Nas Pambóg na biednych naznaczył!

- Życ, aby żyć!

- Aby do śmierci...

- Obywatele! - przeciwstawiłem się natychmiast fali zwątpienia. - Co wy? Przecież nasz los w naszych rękach! Możemy uczynić z Wydmuchowa osadę mlekiem i miodem płynącą!

- Ale jak? Co to ma być?

- E... Pan mafister bajki plecie!

- Z piachu bica nie ukręcisz...

- Otóż ukręcimy! - ogłosiłem. - Z piasku! Mamy w Wydmuchowie śliczną rzekę, obywatele, śliczny piasek, dziewiczy las! I tę rzekę, piasek i las sprzedamy wczasowiczom.

- Co? Co on gada? Sfiksował?

- Któż piasek kupi ?

- Cha cha cha! Wodę będzie przedawał!

- A dzież taki głupi, co to kupi?

- Dzież te wczasowice?

Pozwoliłem im wykrzyzczeć zwątpienie i niepewność, a gdy ucichli, wytłumaczyłem, że owszem, znaj da się tacy, co kupią ten piach, tę rzekę - i to na miejscu, bez wożenia towaru na jarmarki. Mało że kupią - oni kupią i nie zabrają! Pozostawią wszystko, jak było, i wyjadą, A za dwa tygodnie przyjadą nowi - znowu kupią, używają i wyjadą. I przyjadą następni.

- To jak to, panie mafister - spytał Maciej. Cy oni głupie, te wczasowice, cy jak?

- Wczasowicz, moi złoci, to taki człowiek, co lubi wylegiwać się na piasku, pływać w wodzie, chodzić po lesie. I on za to płaci, że poleży, pływa, chodzi.

- Jak to? Za rzekę płaci? - dziwowali się.

- Mało tego: jak wczasowicza karmić, to on też za to płaci. Płaci za chleb, za mleko,

za kartofle.

- Aleć to nie po krześcijańsku brać od cłeka za gościńe! - oburzyła się Grzybiclia.

- Cy to my Niemce? - poparły ją baby.

- Toć cłek honor ma! - zagrzmieli mężczyźni.

- Prawdę mówicie, ma! - przypochlebiłem się z ręcznie. - Jednego przybysza, dwóch, trzech ugościć można i darmo. Ale trzystu? Pięciuset? Tysiąc?

- Tysiąc?!

- A tak, wydmuszanie, zjadą tu do nas tysiące.

I każdy za swój pobyt zapłaci. Więc policzcie, ile zarobi każdy dom, każda rodzina. Będziemy mieli zasłużone dochody. Będziemy żyli dostatnio!

- E, nikt tu nie przyjedzie... Takie pustkowie...

- Przyjedzie! Przyjadą! Ale trzeba doprowadzić z miasta szosę. Most przez rzekę przerzucić. Urządzić plażę. Wybudować hotel!

- Wybudować - a za co? Skąd pieniędzy?

- Dostaniemy kredyty, pożyczki! Zjadą tu fachowcy. Ale trzeba będzie im pomóc.

No więc jak?

- Słysycie? - zerwał się sołys. - Pozycki, znacy się, darmowe pieniądze! Ja głosuje za!

- I ja! - zawołał Grzyb Maciej.

- I ja! - dołączył Grzyb Piotr.

- I ja! - oświadczył Grzyb Paweł.

- I my! I my! - zgłosili się Grzybowie Jan, Kazimier?, Wojciech, Mateusz.

- I my! - krzyknęli Lipkowie, Łukasz i Jakub.

- I ja! - krzyknął Tomasz Wyprostek.

- Hurra! - zawołałem. - Budujemy wczasowisko!

- Skońcy się bieda! - cieszyli się Grzybowie, Lipkowie i Wyprostek.

- Smalec co dzień!

- I mięso!

- I marmulada!

- I śledzi!

- Bedziem żyli, jak te ludzie w mieście!

- Abo i lepiej!

- Niech żyje mafister!

- Niech żyje! Niech żyje!

Wszystkie ręce poszły w górę, gremialnie głosowano za Nowym! Ech, udało się -

wygrałem! Doprawdy, chciało mi się objąć telewizor, wyciskać jak przyjaciela, wycalować, ba, sobie samemu chciałem pogratulować, lewicą uściskać prawicę za trafne poprowadzenie gry. Ale nie spoczywajmy na laurach, nie popadajmy w samozadowolenie przedwczesne... przecież to dopiero początek długiej drogi...

- W takim razie, drodzy wydmuszanie, od jutra do roboty! - obwieściłem. - Do lata zostało siedem miesięcy, wierzę, iż zdążymy i wybudować co trzeba, i przygotować się wewnątrz. Wieczorami musicie obowiązkowo oglądać telewizję, to najlepsze okno na świat, na cały świat współczesny. Zimą zorganizujemy dla kobiet i dziewcząt kursy gotowania i szycia, dla młodzieży kurs tańców nowoczesnych, naukę gier sportowych. Wiercie mi, wydmuszanie: nie święci garnki lepia. Zaczynamy przeto zorganizowane życie świetlicowe. Już jutro przywieziemy stół do ping-ponga i rozpoczniemy turniej o mistrzostwo wsi. A potem - prelekcje, dyskusje, sympozja! Dościgniemy wiek dwudziesty!

- Tak jest! Nowe życie! - zakrzyknął sołtys.

- Koniec zacofania! - rozległo się w izbie.

- Już nudno z tymi zabobonami!

- Chce się spróbować nowoczesności!

- Cłek to brzmi dumnie!

- Naprzód! Ku lepszym dniom!

- Hej!

Entuzjazm ogarnął wszystkich zebranych, wola czynu, przemożne dążenie do tego, aby odrobić zacofanie odziedziczone po rządach szlachty i burżuazji, stanąć w rzędzie najbardziej rozwiniętych krajów Europy i świata, budować lepszą, przyszłość dla siebie i następnych pokoleń. Sołtys włączył telewizor - ludziska wpili się oczyma w ekran, zachłannie łowili każde słowo, każdy obrazek. Zaczęło się!

Koło północy Horpyna odwołała mnie na bok.

- Ho ho, chwyt z ciebie! - powiedziała z uznaniem. - Nu gadaj, carowniku, jak ty to robisz?

- Co, Horpyno?

- A to, ancykryście, że te sklanne ludzi chodzo, gadaj o jak żywe. Uj, dobra stucka!

- Mogę przynieść wam, babko, książkę, w której to wszystko opisane. Czytać umiecie?

- Cytac ja cytam - wyznała z dumą. - Z ręki. Z wody. Z mgły. Z tęcy. Ale z książki? Nie kce. Nu, gadaj zakłęcie, bo ciekawość me spiera.

- Ale nie pamiętam, w książkach ono, babko...

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

- Załujes... Załujes, carowniku...

I odeszła, markotna, między telewizzów.

A byli już w zupełnym władaniu srebrnej muzy. Kiedy spikerka powiedziała „dobranoc” na zakończenie programu, nie wychodzili, czekali... „może jeszcze się pokaże... może co zapomniała...”

Rozchodzili się niechętnie... dyskutowali na drodze, przy płotach, pod chatami.

Malwina wyszła ostatnia - zwlekała, czekając na mnie. Przyparła już w sieni.

- Maniuś, ależ bohater z ciebie! - wydyszała. - Pocałuj! O, ty mnie teraz bardziej się widzisz niż Stach! Nu pocałuj! Przygarnij.

- Dajże spokój, Malwino.

- Kces, scyp! W koczde miejsce, nie będę krzycała!

- O nie, ja nie szczypię...

- To chodź na siano! Na stóg! Aj, jak mnie prze do ciebie, uch, uduse cię, krokodylacku!

Zamknąłem drzwi szkolne i wyszliśmy nad rzekę. Spomiędzy chat dolatywały odgłosy zapalczywych dyskusji. Oddychałem głęboko, likwidując deficyt tlenowy organizmu, dziewczyna tuliła się do mnie to ramieniem, to biustem, kto inny na moim miejscu wykorzystałby to perfidnie. Szliśmy wolno, patrzyłem pod nogi, aby nie zaczepić się o co i nie przewrócić się.

- Ha, na siano mówisz, na stóg... - rozważałem półgłosem. - Kiedy widzisz, Malwino... Fizycznie, owszem, jesteś, Malwino, rozwinięta, może nawet o parę lat zanadto... Ale umysłowo? Nie obraż się - umysłowo jesteś opóźniona, i to nie o lata, ale o wieki... o epokę całą.

- O czym ty, Maniuś? - wydyszała nieinteligentnie. - Nu chodź! Na siano! Pofiglujem sobie... jak tamte w telewizorku!

- Jak ci to wszystko wytłumaczyć, Malwino... - Szukałem porównania stosownego do tej mentalności, wszak umysły prymitywne rozumują metaforami, sytuacjami obrazowymi, konstrukcje logiczne są dla nich niestrawne jak drogie kamienie. - No powiedz, Malwino: czy bez jednej nogi zatańczyłabyś ładnie pólczkę? Pólczkę z przytupem?

- Jak to? Kulawa?

- Właśnie.

- O Jezu! Zeb ty nie powiedział tego w złe godzinę!

- Więc, Malwino, na razie, dopóki twój umysł kuleje, jesteś taką jednonogą,

tanecznica. Najpierw musisz się emancypować, Malwino... A kiedy twój umysł dorówna twemu ciału, wtedy kto wie... Uwierz mi, dużo czytałem o kształtowaniu nowoczesnej osobowości...

- Znaczy ta nocka zmarnowana - zasmuciła się dziewczucha, trąc nogą o nogę, aż iskry sypnęły między kolanami, niczym biegunami maszyny elektrostatycznej.

- Jeśli chcesz, możemy podyskutować...

- Dy... dysku... Jezu, jaki dręcyciel...

Wtem za naszymi plecami zazgrzytało - odwróciłem się błyskawicznie: na tle gwiazd rysowała się groźnie postać szeroka w barach, wcięta w pasie.

- Malwka, psiamać, Malwa! - zachrypiał zwierzęcy głos. - Ciebie ukatrupię i jego!

Nóż załśnił złowrogo!

W tej samej chwili Malwina zasłoniła mnie swoim ciałem.

- Odydź! - warknęła. - Ja już cię nie kce! Silny jesteś, ale... nieucony! Ja jego wole, mafistra!

- Nie zacynaj z nim, Malwka - chrypiał napastnik, ni to grożąc, ni prosząc. - Cy taki ożeni

się z tobą? On ucony - zrobi bachura i porzuci na pośmiewisko! Co ty w nim widzisz, w tym kręcielu! Chodź tu, mowie!

Malwina stała między nami drżąc jak wskazówka woltomierza prądu stałego, zniecka podłączonego do prądu zmiennego! To na niego patrzyła, to na mnie; instynkty, atawizmy, póldzika przeszłość ciągnęły ją do niego, przecucie innego życia popychało ku mnie. Wahala się.

- Malwina! - zawołałem. - Nie załamuj się! Pomyśl o nowym lepszym życiu! O swojej fantastycznej przyszłości...

- Nie wierz jemu! - krzyknął Stach. - On łzę! To łgun! Faryzeus!

- A ty, Stachu, nie zapiekaj się w swojej nienawiści do postępu! - upomniałem osiłka.

- Co ty wiesz o nowym życiu? Nic! Dlaczego nie przyszedłeś na telewizję?

- Przysed ja, był... Pod oknem - mruknął ponuro. - Widział ja to wsytko...

- Widziałeś, jak żyją ludzie w mieście?

- Yy, to jakieś bogacę...

- Żadni bogacze, Stachu! Tacy sami ludzie jak ty i ja, synowie chłopów, robotników. Sami sobie urządzili świat. A ty na co czekasz? Na mannę z nieba? Do miasta ruszaj, leniu, świata spróbuj!

- Jakbyś się zmienił na takiego jak on, mafister - dorzuciła Malwina - to kto wie... Kto

wie...

Stach ręce opuścił... nóż wypadł mu z dłoni. Zgarbiony, oczy wbiwszy w ziemię, pytał ni to nas, ni siebie:

- Do miasta?... Chatę rodzone ostawić? W cudze strony dymać? Jezu, Jezu!

- Stachu, Stachu... - zawstydzilem zacofanego osiłka. - Podnieś głowę! Spójrz!

Wskazałem na gwiazdę nie gwiazdę sunącą orbitalnym łukiem przez rojowisko mrugających gwiazd na nieboskłonie.

- To sputnik, a w nim bohaterska psina! - wyjaśniłem. - Niedługo, a pierwszy człowiek wsiądzie w raketę i polecą na Księżyc albo i dalej! Zobacz! Czterolapa Łajka nie bała się oderwać od Ziemi - i ty... ty boisz się oderwać od swojej chaty, swojego zagona!

Stach spojrział na niebo, w oczach miał łzy. Patrzył za sputnikiem przemykającym pod gwiazdami i pociągał nosem.

- Na co to wszystko... - mamrotał. - Cy to źle mnie z moją Malwko... Cy mnie czego brakowało... Na co mnie latać, jak ja nogi mam zdrowe... Cłeka Pambóg do chodzenia stworzył, nie do latania... Malwka, ostaw jego... Pójdziem w las!

- Nie, Stachu! - zaoponowała twardo. - Ja nowego życia spróbuje. Takiego jak w telewizji!

Stach otarł łzy rękawem... Westchnął. Podumał chwilę i odszedł w ciemność.

Zaraziła się Malwina postępowaniem nie na żarty: w dzień czytała, wieczorem oglądała telewizję, z rana rozmyślała w łóżku, stary Lipka nijak nie mógł jej zapędzić do roboty: krowy ryczały nie dojrane, świny kwiczały nie karmione, ona ślęczała nad książkami! Musiał Łukasz, a wdowcem był, sam, mimo męskiego honoru, krowie cycki miętosić, kartofle obierać, pierogi odcedzać. Raz wieczorem, gdy się do snu sposobilem, dyskretne pukanie w szybę usłyszałem. Zaglądam: Malwina kiwa ręką, żebym na dwór wyszedł.

Uchyliłem okna.

- Odemknij, wleżę! - wyszeptała żarliwie. - Ja się rozwijam, wpuść! Wiem już, co to wyzysk, co niewola... kto wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię...

- Kto ? - sprawdziłem.

- Kościusko - oznajmiła. - Wpuść!

- Nie, Malwino...

- Maniuś... Ja już nie mogę - prosiła ze łzami w oczach. - Oni ciągiem pokazują w telewizorku tych Chrancuzow...

- Ależ zrozum, Malwino... - perswadowałem łagodnie. - Ja nie przyjechałem tutaj na zaloty...

- Jaki ty nowoczesny!

- Malwino, jeszcze nie możemy, twój umysł dopiero drgnął.

- Przecie się rozwijam!

- Ale do ciała twego daleko mu jeszcze, Malwino.

- Maniuś, nie dręc!

- Nie osiągnęlibyśmy pełni...

- A spróbujmy!

- Tyle jeszcze do zdziałania, Malwino...

- Och, zlituj się! Wpuść! Bo... bo się załamie! - zagroziła.

Zaniepokoiłem się. Czy nie przeciągam struny? Czy nie wymagam od niej zbyt wiele?

- No, do pocałunku może i dojrzałaś...

- Uch!

Złapała za szyję, przygarnęła nad parapetem, wpiła się ustami w usta... prymitywna, prymitywna jeszcze. Ale rokowała nadzieje.

- Wystarczy na tym etapie - zakończyłem, spoglądając w ciemność, czy nie majaczy gdzie sylwetka wąska w pasie, szeroka w barach. - Pracuj, Malwino, Rad sobą, a zobaczymy...

- I jak się rozwinę, pódzies ze mno w siano? -ucieszyła się. - Pódzies? Aha: emancypacja!

- Co emancypacja?

- Takie słowo zapamiętałam. Wiem, co znaczy!

- Brawo, Malwinka.

- Maniek! Ja dla ciebie, ech! - Nozdrza jej się rozszerzyły zmysłowo. Zmrużywszy oczy jak kocica westchnęła... przeciągnęła się lubieżnie, aż puściły haftki u serdaka. - Ja dla ciebie nauce się... francuskiego !

- Nie trzeba, Malwino... Na razie opanuj język ojczysty... Staraj się nie mazurzyć... A co ze Stachem?

Machnęła ręką lekceważąco.

- Wyjechał... Do miasta... Ale co mi tam on... Ty, ty, mój sokoliku, ty tera najpiękniejszy!

I jeszcze raz za szyję chwyciwszy, wargami gorącymi, zębami białymi dopadła mych ust... z pięć minut trwał pocałunek, tak że mogłem w tym czasie niemało przemyśleć i dojść

do niejednego wniosku.

W końcu grudnia to było, wieczorem. Korzystając z ferii zimowych odpoczywałem sobie, leżąc leniwie na łóżku, radia słuchając, gdy zapukała Grzybicha.

- Wzesła piersa żwiazdka... - powiedziała nie śmiało. - Nie zasiadby ty z nami, Maniuś, do wiliji?

- Maniuś to ja dla was byłem piętnaście lat temu - skarciłem babinę za sentymentalizm.

- Przepraszam pana mafistra - poprawiła się od razu. - Ale jest miejsce... A my dwoje takie same... stare...

Żał mi się zrobiło tych prostych zagubionych ludzików. At, pójdę, postanowiłem: przyjrzę się osławionemu obrządkowi, a przy okazji, kto wie, może uda mi się dokonać jakiegoś wyłomu?

Zgasilem mojego „Pioniera” i udałem się do izby kuchennej. A jakże, gospodarze wybielili ją na „święta” siną glinką, wymyli podłogę do białości, zawiesili czyste ręczniki. W kącie, pod obrazem jakiejś kanonizowanej schizofreniczki, stał obrzędowy snop słomy. Na stole, a właściwie niskiej szerokiej ławie, rozścielił Grzyb wiązkę siana, kobieta przykryła je białym obrusem. Z książki do nabożeństwa wyjęła opłatek, położyła na płótnie. Przycisnąwszy książkę do piersi, wpatrzyła się we mnie miłośnie.

- A pamiątki... nie kce obaczyć? - spytała bez osobowo.

- Pamiątki ? - zdziwiłem się. - Jakiej pamiątki ?

Spomiędzy kartek wyjęła coś czarnego, ni to liść, ni kwiat zasuszony i spłaszczony na blaszkę.

-Co to?

- Twój pę... Twój pępusek, synku... Pępusek. Jak odleci, w książkę się wkłada, zeb potem dzieciak pamięć miał... na uconego wyroś... Na księdza.

-Yy, głupia baba! - mruknął Grzyb. I niecierpliwym ruchem wyrwał kobiecie „relikwię”, z odrazą cisnął między drewna pod piecem.

Grzybicha opuściła głowę, jakby stało się coś naprawdę przykrego.

- Zawracas mafistrowi głowę jakiemiś zabobonami! - skarcił stary. - Siadajmy! Jeść się chce...

- A pacierz? - spytała zdezorientowana. - Jak to? Pacierza nie zmowim? W wilije?!

Stary spojrzął na mnie bojaźliwie.

- A tam, pacierze! Pacierzem się nie najes! - mruknął i bezceremonialnie za stołem zasiadł. Ja zasiadłem, zasiadła też, rada nierada, Grzybicha, mamrocząc modlitwę pod nosem.

Grzyb sięgnął po opłatek. Wziął go z namaszczeniem, wyciągnął ku mnie rękę, ale gdy nasze oczy się spotkały - zrozumiał.

Cofnął rękę, niedbale rzucił opłatek na obrus.

- Ot, choroba, zabobon na zabobonie... - wymamrotał zmieszany. - Całkiem jak u tych, no... Afrykańców w telewizji... Ni ma co, dawaj, Jancia, coś konkretnego, a nie te... No... Sym... sym...

- Symbole - odpowiedziałem.

- O, to to, symbole! Symbolem kisek nie zapchas.

Grzybicha postawiła na obrusie miski z tradycyjnymi potrawami, śledzie, grzyby z cebulą, gotowane gruszki, kaszę z makiem, postne placki, kutię. Stary rzucił się na jadło łapczywie, widać cały dzień pościł. Ja spróbowawszy tego i owego - objadać się nie lubię, zbyt najedzony czuję się ociężały i tracę entuzjazm - podziękowałem za posiłek. Grzybicha siedziała przy stole przygnębiona, z przyganą patrzyła, jak Grzyb pałaszuje. A jadł zwyczajnie, bez obrzędowej nadbudowy. Zjadłszy - nie przeżegnał się.

- To i na pasterkę nie pódzies? - rzekła zgorszona.

Rozparł się, paska popuścił.

- Cy ja głupi... - mruknął wydłubując paznokciem jedzenie z zębów. - Telewizor pod bokiem, a ja mam do kościoła pchać się tyle kilometrów? Bez taki śnieg? Środkiem nocy? Klęczyć, jak se mogę w ławce posiedzieć?... Przedstawienie wilijne dajo, chodź i ty...

Grzybicha i z tuzin innych bab i chłopów poszli jednak śród nocy przez lasy i śniegi do kościoła. My ze starym udaliśmy się do szkoły.

W świetlicy siedziała już przed ekranem Malwina: opatulona modnym kozuszką, tupą obcasikami szpilek, rozgrzewając nogi w nylonowych pończochach, nogi śmigłe i mocne.

Usiadłem przy niej, dziewczyna natychmiast spiekła raka ze szczęścia.

- Co nowego? - spytałem. - Stach nie pisze?

- Przecież wiesz, że kto inny mnie teraz obchodzi - powiedziała, wymownie wtulając się we mnie ramieniem, Z satysfakcją zauważyłem, że przestała mazurzyć. - Co nowego, pytasz? Załatwiłam kurs gotowania i szycia! - pochwaliła się. - Ruszamy zaraz po Trzech Królach... to jest, chciałam powiedzieć, po szóstym styczniu...

Schodzili się chłopci, rozsiadali, patrzyłem, ciekaw, kto przedłożył spektakl telewizyjny nad kościelny. Przyszedł Wyprostek, przyszedł Łukasz Lipka. Z Grzybów zjawili

się Kazimierz, Wojciech oraz sołtys Jędrzej, i to z żoną. Wyglądało na to, że telewizja ma u mężczyzn większe wzięcie niż u kobiet, tak, one zawsze były tradycjonalistkami, na ich babskiej pamięci i poczciwości stoi ta cała kultura ludowa.

Komentowano półgłosem reportaż o tych, co na morzu, z dala od domów rodzinnych. Gdy spikerka zapowiedziała widowisko jasełkowe, poprawiliśmy się w ławkach, ucichliśmy.

Rozległy się dźwięki znanej koledy „Lulajże, Jezuniu” w współczesnej aranżacji - i zaczęło się, nawet pomysłowo. Zespół młodzieżowy w białych kozuszkach grał i śpiewał jako pastuszkowie, tancerki o srebrnopiórych skrzydłach odtańczyły aniołów, zaś dwoje renomowanych aktorów odegrało pantomimę świętego Józefa i Maryi nad żłobkiem...

- Świetna obsada - pochwaliła Malwina.

- O, Jezusek! - ucieszyła się sołtysicha.- Jaki kłuściutki!

- Scichnij! - uspokoił babę Jędrzej.

Wół i osioł się pokazały, pięknie stylizowani, pocieszni...

- Ech, i pomyśleć, że kiedyś brało się te mity na serio - westchnęła Malwina.

- Już nie? - spytałem, radość podpłynęła mi do gardła.

Malwina przytuliła się mocniej.

- Zmieniłam światopogląd - wyznała szeptem. - Na materialistyczny.

O, wspaniała to była wiadomość, nie mogłem nie podzielić się taką nowiną z innymi.

- Słyszeliście? - zawołałem. - Ona zmieniła światopogląd!

Maciej, sołtys, Wyprostek oderwali oczy od ekranu. Nie wierzyli.

- Naprawdę? - spytał Maciej z lękiem w oczach. - Naprawdę zmieniłaś ten... no... światopogląd?

- Przedwczoraj! - oznajmiła. - Przeczytałam Feuerbacha... Ach, dopiero on pomógł mi zrozumieć tragedię chrześcijaństwa! Tyle lat wielbiono wymagowanego Boga - zamiast człowieka wielbić!

Objąłem dziewczynę i, nie wstydząc się świadków, serdecznie ucałowałem w oba policzki... Oczywiście, skorzystała z okazji, aby wpić się w moje usta zachłannie i długo.

- Gratuluję, gratuluję, Malwino! - cieszyłem się spontanicznie. - No i jak się czujesz w nowym światopoglądzie? Mów - niech ludzie wiedzą!

- Całkiem w tamto nie wierzysz? - dopytywał się Maciej. - Ni w świętych, ni w piekło, ni w niebo?

- I nie strasno tobie bez świętej opatrności? - kręcił głową sołtys. - Gadaj, jak to jest...

Malwina przeciągnęła się, szczęśliwa.

- Ech, mówię wam... Jakbym się na nowo narodziła... Inne samopoczucie... Kiedy się do końca otrząśnie z tych mitów i zabobonów, to po prostu lepiej się spi.. Lżej oddycha... Życie ma inny smak!

- A nie lekujes ty się aby, Malwina, z kawalirami ? - przycięła sołtysicha. - Może od tego te smaki...

Malwina puściła mimo uszu grubiańską aluzję co do jej prowadzenia się, a ja, aby zatrzeć przykre wrażenie, powiedziałem, wskazując ekran, że świetnie gra Matka Boska.

- Ale czy nie nazbyt serio? - zauważyła Malwina. - Przecież to trzeba z przymrużeniem oka...

Zatupotało w sieni i rozległo się proste, amatorskie śpiewanie: weszli chłopcy z gwiazdą, śpiewając „Przybieżeli do Betlejem pasterze...” Żywiłowo śpiewali, aby głośniej.

- A to urwisy, telewizję zagłuszają! - sarknął sołtys.

- A Maciej, przyjrząwszy się kołędnikom uważniej, zawołał:

- Zakalaki!

Śpiewali, kręcąc tę swoją gwiazdę ze świeczką w środku, ozdobioną aniołami i zwierzętami z papieru, przyklejonymi do ramion.

- A poszli precz, guślarze! - zatupał nogami sołtys.

Zachybotali się, cofnęli do proga. - A kysz, zabobonniki! Łazo po wiosce z tymi przesądami, zacofańce...

- Zamiast do skoły chodzić, ucyć się! - dorzucił Grzyb. I wstał do nich...

Wycofali się w popłochu. Maciej zamknął drzwi za nimi, podszedł do aparatu, podregulował fonię. Właśnie śpiewano „Przybieżeli do Betlejem”, ale w wykonaniu nowoczesnym, artystycznym.

Postanowiliśmy wykorzystać okres zimowy - to że błota zamarzły i droga stała się dostępna dla ciężarówek - na zgromadzenie budulca pod budowę ośrodka. I tu okazało się, że w sołtysie drzemią istne talenty organizatorskie. Raz dwa nauczył się biurokratycznej procedury: pisania podań, odwołań, interweniowania, protekcji. Jednego nie mógł załatwić: przydziału cegły na pawilon letniskowy.

Staliśmy w śniegu, na skarpie, w miejscu, gdzie miało wyrosnąć wczasowisko.

- Nie byliśmy w planie - wyjawiał zdenerwowany. - A bez planu to i sam czort nie wydębi u nich ni cegiełki.

- Czort nie, może ja? - usłyszeliśmy za plecami głos starczy, skrzekliwy. Obejrzeliśmy

się.

Nie opodal stała Horpyna. Jedną ręką przytrzymała łachmaniastą chustę, drugą wspierała się na kosturze.

Nie była sama. O metr za nią sapał niedźwiedź. Wiązkę chrustu dźwigał na plecach. Przyglądał mi się z zainteresowaniem.

- Przydziału nie dali - mruknęła Horpyna. - A to psiekrwie, biurokraty... Oj, rozmnożyło się to biurowe robactwo... Hm, a dużo wam tej cegły trzeba?

- Z osiemdziesiąt tysięcy - rzekł sołtys. A ja roześmiałem się.

- Czyżbyście, babko Horpyno, zamierzali nam przydział wyczarować? - spytałem.

- Śmiejes się... - mruknęła. - Wiem, że mnie nie sanujes. Ale usanujes!

Poprawiła szmaty, ogarnęła się. Stuknęła kosturem o grudę.

- Cicho są! Nie gadać! - rozkazała.

Zastygła...

Koncentrowała się...

Przymknęła oczy i w dolinie... jakby... pociemniało. Nie wierzyłem własnym zmysłom: oto zaruszały się drzewa, zakotyły... zimny wiatr musnął nas po policzkach... podmuchy wzmogły się, zrywając śnieg, zakurzyło, zawirowało, słońce znikło za śnieżną zadymką, pociemniało w dolinie! Niedźwiedzisko uniosło łapy w górę i zawyło posepnie... rozskomlały się psy we wsi, jak podczas zaćmienia! W wichurze rozległy się szatańskie poświsty, jęki, okrzyki!

Dłoń, szponiastą, rozcapierzoną, wyciągnęła Horpyna w stronę Powiatu.

- Ej, ty tam, słysys! - zawołała w zawieruchę. - Ty na drugim piętrze, pokój cterdzieście jeden. Tak, ty! Nie oglądaj się na drugiego, nie udawaj durnia, tak, ty, do ciebie mówię, tumanie! Odłóż bułkę na potem, tera bierz drucek seździesiont ctery. I pis: Przydzielamy... na budowę... letniska... w Wydmuchowie... 80 tysięcy... słownie: osiemdziesiąt tysięcy... jednostek... ceramicznych. A tera podpis! I stempel! I ślij posłańca dzie trzeba, a kopie, tumanie, daj Grzybowi Maciejowi, w sklepie naprzeciwko jest, to nam przy wiezie...

Co rzekłszy, opuściła Horpyna rękę - zawierucha jakby uspokoiła się... pojaśniało... śnieg opadał... ukazało się słońce, drzewa znieruchomiały, psy ucichły.

Otworzyła baba oczy, trochę nieprzytomne, jakby z dalekiej, wielodniowej delegacji wracała. Zmęczyła się bardzo, dyszała.

- C-co t-to b-było? - spytał sołtys dzwoniąc zębami z zabobonnego strachu. - Trójco Przenajświętsza, miej nas w swojej opiece!

Zegnał się raz za razem...

Teraz przejrzałem niecny zamiar czarownicy. O, nie, nie o dopomożenie nam w opresji chodziło tej reakcjonistce. Chciała zademonstrować swoją siłę czarnoksiężką! Zastraszyć wieś, przyhamować postęp w fazie pierwszego rozruchu! Ach, szczywana sztuka!

Poklepałem sołtysa po ramieniu.

- Nie bójcie się, sołtysie, to nic nadprzyrodzonego - powiedziałem dla dodania mu odwagi. - Co to, nic słyszeliście o telepatii, jasnowidzeniu i innych zjawiskach parapsychicznych? Nie wiecie, że to zagadki rozszyfrowane już przez naukowców?

Niedźwiedź spojrzał mi w oczy i popukał się znacząco łapą w czoło.

- Jeśli chcecie, zrobię wam w świetlicy prelekcję na ten temat - dorzuciłem, gdyż sołtys wcale nie odzyskał animuszu po moich słowach. Wprost przeciwnie - po kroku, po pół cofał się, byle dalej od Horpyny i niedźwiedzia...

A Miszka się zdenerwował. Rzucił chrust w śnieg i człap, człap, podszedł do mnie.

- Biedne zahipnotyzowane zwierzę! - zawołałem bezkompromisowo.

Niedźwiedź zamierzył się prawym sierpowym i kto wie, czy nie zaaplikowałby mi nokautu, gdyby nie Horpyna.

- Spokój, Miszka! - rozkazała. - Nie twoje sprawy!

- Ale nie mogę słuchać, jak ten facet dziamga! - rzekło zwierzę basem.

Tknęło mnie przeczucie.

- A może on przebrany! - zawołałem. - Może to ktoś z bandy? Sołtysie! Sprawdzono?

Horpyna pokręciła głową z politowaniem.

- Nie krzyc, Manius - rzekła dobrotliwie. - Ja tu wampomagam, a ty na mnie krzycys. Ze cary? Jak bieda, każdy sposób dobry, nie? Grunt, ze cegłę dostaniecie...

- A co wy, Horpyno, taka łaskawa dla budowy, ha? - przyparłem ją do muru. - Czy wam aby nie o co innego idzie?

- Oj, głupi ty, głupi... - odparła. - Chce przysługi za przysługę! Ja tobie przydział załatwiła, ty - wyjaw mnie zakłęcie na te telewizje... Odetchnąłem.

- Naprawdę, Horpyno? Naprawdę chcecie wiedzieć, jak działa aparat?

- Korci mnie to i korci, spać nie mogę bez tych sklanych ludziów.

- Dobrze, Horpyno! - zawołałem. - Za chwile. .

Kopnąłem się do szkoły po encyklopedię techniczną. Przyniosłem księgę, wręczyłem babinie.

- Tutaj, Horpyno, są wszystkie zakłęcia... przeczytacie, zrozumiecie.

- A powiedzieć nie mozesz ?

- Nie pamiętam, babko. Bo to bardzo długie zakłęcie... Kilkadziesiąt stron. A czytać litery potraficie ?

- Jakoś dojdę...

Zabręczały dzwoneczki... Po lodzie przejeżdżał rzekę Grzyb, saniami z miasta wracał. Z daleka wymachiwał brązową kopertą.

- Przydział! - wołał. - Przydział mamy! Osiemdziesiąt tysięcy...

Sołtys, zamiast się cieszyć, znowu popadł w zabobonną drżączkę.

- N-no i c-co, p-panie m-magister - wyjąkał. - C-co p-pan n-na t-to ?

- Nauka i to w swoim czasie wyjaśni - oświadczyłem zdecydowanie i niedźwiedź znowu ruszył w moją stronę. Ale Horpyna powstrzymała go kosturem. Kazała chrust podnieść.

Podniósł, poszli... Dwie czarne sylwety na białym śniegu - on z furą gałęzi na glecach, ona z grubą księgą pod pachą.

Niespodziewanie zapalał Grzyb miłością do elektrotechniki! Zaczęło się od tego, że nareperował sołtysowi zepsute żelazko - rozkręcił, pogmerał i znowu funkcjonowało jak trzeba. I zaraz spróbował sztuki trudniejszej: coś tam w kątku wiązał, nawijał, lutował... i oto nad drzwiami pojawiło się w izbie zagadkowe urządzenie z metalowym krążkiem. Prowadził do niego po futrynie i belkach w sieni aż na dwór czerwony kabelek.

- Jezu, co on caruje! - obawiała się Grzybicha.

- A to! - odparł i wdusił palcem przycisk.

Zadzwoń!

Dzwonek, elektryczny dwonek Grzyb zmajstrował!

Zmieniał się... przeistaczał z dnia na dzień.

Raz przyłapałem go w stodole, stojącego na środku klepiska z cepem w ręku. Trzymał cep w dłoniach, ale nie ku młóceniu, lecz oglądaniu. Oglądał lśniący, wypolerowany rękami dzierzak.

- To ja tym młóć? - dziwił się głośno. - Tym? Co to jest? Czy to cep?... O Matko Boska, czymś takim ja młócił? Co zimę, co rok, dniami, wieczorami? Yy, nie wierze, to musi nie ja młócił... musi kto inny... inny Grzyb! Czyż ja, Maciej Grzyb, mogłem być taki ciemny, żeby tym młócić? A tfu!

Odrzucił w ką przestarzałe narzędzie. Wyszedł na środek gumna i opuściwszy ręce kiwał głową, oczy wytrzeszczył z niedowierzania.

- I to ma być gospodarstwo? - mrucał, rozglądając się wkoło, jakby dopiero na oczy przejrzał. - To naprawdę mój chlew? Moja chata? Stodoła? Takie przedwojenne, pańszczyźniane, zacofane - i moje? - Przetarł oczy. - O Matko Boska, Matko Boska, gdzie ja rozum miałem! Czemuż tak długo byłem ciemny!

Nowe dochodziło w nim do głosu. Oto wkrótce wyprowadził Grzyb z obórki krowę na postronku.

Grzybicha zabiegła mu drogę.

- Co ty, całkiem ty sfiksował? - zawołała wpychając kościste bydlatko z powrotem w drzwi. - Krowę, żywicielkę przedawać? Ty stuknij się w swój stary pokręcony łeb! Co my bedziem jedli? Cym mafistra karmić bedziem, człowieku ?!

- Po pierwsze, nie człowieku, ale człowieku - poprawił żonkę spokojnie. - A po drugie: ścichnij, kobieto! Wiem, co robię, wszystko przekalkulowane... nie ma co te Mečke chować, onaż nierasowa, Jancia. Lepiej opłaci się kupić mleka, niż marnować siano dla takiego darmozjada. Puść, sprzedam...

- Człowieku, opamiętaj się! - rozpaczała Grzybicha. - Toć ty wsytko popprzedajes niedługo! I kobyłę! I śwyni!

- A popprzedaje, Jancia, popprzedaje...

- To i ziemie przedawaj! - jęknęła.

- A przedam, przedam... Nie ma sensu ten nasz zagon piachu obracać. Pługa szkoda, czasu szkoda.

- Aż cego żyć bedzies ? Co jad ?

- Sklep robio w wiosce, w sklepie się kupi chleba, śledzi, konserwy...

- A piniędzy?

- Chłopo-robotnikiem będę. Zarobi się przy moście, przy budowie. Z letników trochę kapnie. Takie gospodarzenie jak nasze to tylko marnowanie robocizny, Jancia, dokładanie do niczego. No, puść, Jancia... Sprzedam krowę, pralkę tobie kupie, prodiż... Sołtysy kupili - a my co, gorsze?

Wzmianka o pralce udobruchała nieco Grzybichę.

- Taka z wyciskacko będzie? - upewniła się.

- Z wyciskaczko...

- A nu, jak tak...

Wieczorem przywiózł Grzyb z miasta pralkę, prodiż, worek jakichś brzękotek. I

książkę.

Dopiero teraz zanurzył się Grzyb w nowoczesność. Zanurzył się i, rzecz można, zatonął. Nie pomagały lamenty żony: zaszył się w kącie między łóżkiem a oknem i czytał, czytał... Któregoś dnia odrysował z podręcznika - węglem na ścianie - schemat, oczywiście w wielokrotnym powiększeniu. Następnie w różnych, tylko jemu wiadomych punktach powbił w ścianę gwoździe i haki i sięgnął po worek. Za dwa rogi potrząsnął - zabrzączało - wysypał zawartość na łóżko. Czego tam nie było... jakieś śrubki, cewki, kondensatorki, lampy...

I ze śrubokrętem, obcęgi i lutownicą zabrał się do montowania części na ścianie!

Po wsi poszło: Grzyb sam robi telewizor!

Sąsiedzi, ciekawi sprawy, codziennie przychodzili popatrzeć, jak idzie robota, i pogadać. A było o czym.

Wchodząc, nie odmawiali sobie przyjemności zaanonsowania się dzwonkiem. - Proszę! - odpowiadał Grzyb, nie odrywając się od aparatu. Wchodzili, rozsiadali się na ławie, palili papierosa za papierosem, gadali. Mieli dużo czasu, wiosenne prace jeszcze się nie zaczęły. Lubili - poprawiając wypracowania, przygotowując ćwiczenia - posłuchać siebie przez drzwi tych chłopskich pogwarek.

Raz, koło Wielkanocy, parę dni po tym, jak radio i telewizja poinformowały o pierwszym locie człowieka w Kosmos, wstąpił Lipka i sołtys z nowiną, że Wyprostek wymłócił zboże.

- Wiem - rzekł Maciej. - Młocarnią na motor elektryczny.

- Ale nie wiecie, ile zboża namłócił - rzekł Lipka. - Dwa razy tyle, co cepem.

Osiemdziesiąt pudów!

- Jak to? - zdumiała się Grzybicha. - Zboża tyle samo, a ziarna dwa razy więcej?

- Bo maszyną - objaśnił Lipka.

- A maszyny podnoszą wydajność z hektara - dorzucił fachowo sołtys.

Grzybicha się roztkliwiła.

- Oj te maszyny, te maszyny... - gderała, otwierając prodiż - co one wyprawiają! A najbardziej elektryczne. Na elektryczności pieczone - wszystko jakieś większe, lepsze. Spróbujcie!

Wzięli, spróbowali.

- O, tak! - pochwalił sołtys, spróbowawszy. - Smaczniejsze...

- Tłustsze jakby - dorzucił Lipka, zjadając.

- Tłustsze i większe! - przytaknęła Grzybicha z zapałem. - Ja już od paru dni wybieram się do księdza...

- O? A po co? - zaciekał się sołtys.

- A żeby nowe święto założyć!

- Nowe święto? Jakie?

- A Matki Boskiej... Jest Matka Boska Zielna, jest Siewna, jest Gromniczna - niechaj będzie i Elektryczna !

Roześmiali się chłopci pobłażliwie nad babską pobożnością i do swoich spraw wrócili.

- Doradźcie, Jędrzeju... - rzekł Lipka do sołtysa, który zaczął uchodzić za pierwszego we wsi eksperta od rolnictwa i ekonomiki. - Wiosna idzie - nie wiem, na co podpisywać z Centralą kontraktację: na truskawki czy na pieczarki...

- Pieczarki? Kiedy pieczarki potrzebują końskie go nawozu, Łukasz, a wyście sprzedali kobyłę na motocykl - skostatował sołtys.

- Hm... - zmartwił się Lipka. - To co, truskawki mi radzicie ?

- Truskawki rzecz popłatna... Ale zanadto zależna od pogody. No i moc roboty w szczycie, to nie dobre. Ja na waszym miejscu, Łukasz, założyłbym plantację hypericum perforatum...

- Hypericum co?

- Perforatum... To po łacinie. U nas mówiło się na to świętojańskie ziele. Albo dziurawiec.

- Ach, dziurawiec! - skojarzył sobie Lipka. - No, patrzcie chwasta, jak awansował.

- Tak, awansował - ciągnął wykład sołtys. - Na plantacjach rośnie... Roboty przy nim niewiele, tyle co zasiać, a potem, jak dojrzeje, zebrać i wysuszyć. A dochodu ze dwieście tysięcy z hektara!

- Dwieście?! - zapalił się Lipka. - Nie ma co, biorę się za to...

Znowu zadzwoniło, Wyprostek przyszedł. W kombinezonie. Utrudzony był młocką, ale zadowolony.

- Ech, co młocarnia, to nie cep! - pochwalił się. - Muszę jeszcze parę maszyn kupić: siewnik, koparkę, a może i traktor...

- Słusznie! - pochwalił sołtys. - Macie, Tomaszu, najwięcej hektarów i kto ma się brać za rolnictwo wielkotowarowe jak nie wy? My, małorolni i bezrolni, musimy specjalizować się w uprawach intensywnych i usługach...

- Traktor? Ho ho, traktor! - rzekł zazdrośnie Lipka. - Ale skąd tyle pieniędzy weźmiecie, Tomaszu?

- A co to, nie ma w bankach kredytów! - odpowiedział za Wyprostka sołtys. - Weźmie sobie

Tomasz pożyczkę i kupi... A musi się maszynami podpierać. Stach do miasta wyjechał, Wala w szkołach... Bez maszyn nie dałby rady...

Wtem coś zahuczało w telewizorze - sygnęły iskry - Grzyb odskoczył... Prąd trzepnął go po palcach.

Sołtys, Lipka syknęli ostrzegawczo - że z prądem nie ma żartów, a Wyprostek wręcz ofuknął Grzyba za amatorszczyznę.

- Nie szkoda wam, Macieju, czasu i zdrowia na tę dłubaninę? - rzekł. - Ja tam sobie kupię telewizor w sklepie. Gotowy.

- Ile cali ? - zaciekawił się Lipka.

- A ze dwadzieścia jeden.

- To i ja kupie. Dwadzieścia trzy!

- Tak ? - obruszył się Wyprostek. - To ja dwadzieścia pięć!

- A ja trzydzieści! - przebił Lipka.

- E, takich nie ma.

- To kupię dwadzieścia dziewięć i odkurzacz!

- E, odkurzacz to ja już mam, Łukasz - pochwalił się Wyprostek. - Wy tam ze mną nie wygracie... Nie dam się! U mnie wszystko będzie największe...

I mniej więcej wtedy zajarzył się na ścianie ekran telewizora - zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi!

Po ekranie załatały świetliste zygzaki, a z głośnika szum się wydobył, pierwsze słowa...

...i w tej samej chwili ukazała się w szkłe wielka sala z osobami siedzącymi wzdłuż długich stołów, a w głębi, za trybunami, ktoś przemawiał żarliwie, przekonująco.

- Hurra! - zawołałem, łapiąc starego w objęcia. - Zwycięstwo! Zwycięstwo... ojczy!

Tak, powiedziałam „ojczy”, i myślę, że nie za pochopnie. Oto naocznie udowodnił Grzyb, że jest człowiekiem z naszej epoki, z naszej ery: człowiekiem cywilizowanym.

Lipka, Wyprostek, sołtys tak samo byli wielce poruszeni sukcesem sąsiada, podziwiali aparat.

- Działa, działa, a niechże cię uściskam, Macieju! - cieszył się sołtys, obejmując ojca serdecznie.

Grzyb przyjął gratulacje, ale nazbyt znużony był uporczywą pracą, zwłaszcza w ostatnie noce, żeby z nami świętować zwycięstwo. Zdjął trzewiki i legł na łóżku. Ułożył sobie poduszkę i z rękami pod głową oglądał transmisję, dumny i szczęśliwy.

- Oj, złote ma ręce... - podziwiał Lipka.

- Daleko zajdzie... On jeszcze syna prześcignie! - prorokował sołtys. - No, patrzcie: zrobił sobie telewizor i teraz leży, patrzy... Macieju, a kupcie sobie w nogi elektryczną, poduszkę. Ja kupiłem. Mówię wam - taka, zaraza, przyjemna, że rano całkiem nie chce się wylażyć do roboty. Leżałby sobie człowiek i leżał...

- A to już żona was nie grzeje, Jędrzeju? - zachichotał Lipka.

- W nogi? U mnie żona nie śpi w nogach.

- No to dzieci.

- Dzieciom kupiłem specjalne łóżko, oddzielne.

- Oddzielne? - zdumiała się Grzybicha. - Widzę, pańskich myśli dostajecie, Jędrzeju...

- A co! - odparł pyszałkowato. - Sołtys jestem! Urzędnik. Na lato wentylator sobie kupię. Taki, jak był na biurku u tego ministra w telewizji.

Grzyb przeciagnał się w łóżku, ziewnął.

- A zrób no, Jancia, cztery kawy - zażyczył sobie. - Aha, i Jakuba zawołaj, ciekawe, co powie o jakości odbioru...

Grzybicha pokiwała głową, zgorszona.

- Ot, rozpuścił się! Włącz, wyłącz, herbatkę podaj. Mateusza zawołaj. A co to ja, na posyłki?

- Póki telefonu nie ma, Jancia... Gdyby telefon był, wykręciłoby się numer i gadałby se człowiek z Tomaszem czy Łukaszem. Bez chodzenia po nadworzu. Leć, leć, Jancia, zawołaj, ciekawe, co myśli o misji Jarringa...

Grzybicha poszła... Ale ledwo próg przestąpiła, wróciła wzburzona.

- Zakąła miedzę zaoruje! - jęknęła. - Wylaż, leniu!

Maciej skrzywił się, dźwignął nieco. Poprawił poduszkę i... legł znowu.

- A tam, miedza - zlekceważył. - Na Bliskim Wschodzie cały półwysep zajęty. A ona mi tu...

Grzybicha okno otworzyła i wezwała nas, abyśmy zobaczyli, co się dzieje. - O, cały zagon zaorany! - Spod pieca, spomiędzy polan wyłuskała siekierę, podała Maciejowi - ten odtrącił narzędzie. Ale podźwignął się nieco i, siedząc w łóżku, popatrywał za okno.

- Prowokuje... - mrucał. - Prowokuje mnie, pieniacz...

Coraz oglądając się w naszą stronę, Zakąła orał pod gruszą, po obydwu jej stronach. Wyglądał na mocno zdenerwowanego. Wreszcie, odwaliwszy skibę przez środek Maciej owego zagona, stanął.

Ojciec uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Myśli, że na głupiego trafił - mruknął.

Zakała, zniecierpliwiony, zatupał w piachu.

- Miedza i cały zagon twojego zaorane! - wrzasnął. - I na co jesteście ciekawsi, psiwiaro! Wychodź!

- Powiedz mu, Jancia, że może sobie całe moje pole zaorać... I niech mi da święty spokój - rzekł Maciej ziewając i, poprawiwszy poduszkę, legł na powrót.

Za oknem zacharczało, zabulgotało, zazgrzytało! Ucichło...

Po minucie usłyszeliśmy głos nowy: rozpaczliwy, proszący.

- Nu, Macko, nu, co ty... Wydź... Wydź, Macieju... Zlituj się, wydź... Toć nie będę bił się o miedze sam z sobą! - błagał Zakała.

Ale ojciec przestał go słuchać. Inny dźwięk go zainteresował - daleki warkot potężnej maszyny.

- Co to? - spytał. - Co to tak warczy?

- Rzekę regulują, bo dzika - rzekł sołtys.

Grzyb pokiwał głową... Oczy mu się zamykały sennie... Jeszcze spojrzał raz i drugi znużonym wzrokiem w telewizor. I zasnął.

Transmisja nabrała rumieńców - następny mówca przemawiał jeszcze żarliwiej, jeszcze bardziej przekonująco.

Za oknem odżyły krzyki. Tym razem krzyczała Zakalicha.

- Co me bijes! Nie bij, bo jak oddam, to nogi wyciągniesz!

Wyjrzałem: Zakała bił grabiami żonę.

- Muse bić! - stękał, bijąc. - Ręce świerzbio, muse!

- To mnie?

- A kogo?

- Ja casu ni mam! Krowę bij!

- Yy tam, krowa... Nu, ale lepsza ona niż nic...

Sołtys zafrasował się.

- Budujemy, upiększamy, staramy się, ale co z Zakałą? - spytał. - Żeby nam wszystkiego nie zeszpecił tą swoją kurną chatą, zacofaniec!

- Może by go podpalić? - zaproponował Lipka.

Tak, to był problem ten Zakała. Wszystkie akcje bojkotował, dzieciom do szkoły chodzić nie pozwalał. Z postępu szydził, na maszyny pluł.

- Czas leci - frasował się sołtys. - Sezon blisko... Lada miesiąc, lada dzień wczasowicze zjadą, a tu?...

Za oknem zaryczała krowa... usłyszeliśmy odgłosy potężnych razów, stękanie

zwierzęcia i przekleństwa Zakały.

- Trudno, niech żyje, jak żył, nie będziemy go gwałcić - zdecydowałem. - Z czasem sam przejrzy na oczy, doszłusuje. A póki co, będzie nam za relikwiarz ponurej przeszłości.

- O, to to! - pochwalił sołtys. - Dla kontrastu się przyda...

Tydzień za tygodniem mijał, dzień po dniu odchodził, aż nastąpiła ta chwila wielka, od jesieni wyglądana: zagrały głośniejsze na przystani, pogodne melodie stały się po kotłowni nadrzecznej, ponad piaskami, wodą, łąką, wędrowały do wioski i między drzewa, ptactwo w lesie zamilkło, zdziwione. Staliśmy na moście i patrząc w miejsce, gdzie ruda wstęga żwirówki wysuwa się z puszczy, oczekiwaliśmy wymarzonego warkotu...

Podnieceni byliśmy. O sołtysie, rzec by można, że zdenerwowany: chodził tam i z powrotem, parasolkę miał w dłoniach, czoło ocierał z potu. Z treścią walczył: miał wygłosić przemówienie, tekst powtarzał.

Droga, wybiegłszy z lasu, pięknym łukiem prowadziła na most. Betonowy, z lekką kolorową balustradą, dodawał uroku wsi i rzece, był znakomitą uwerturą dla wczasowiska.

Ośrodek prezentował się pięknie. Centralnym obiektem był piętrowy pawilon ze szkła i betonu; na dole mieściła się jadalnia, czytelnia, sala gier i klub z telewizorem. Na piętrze - pokoje gościnne. Pomachałem ręką do Malwiny - stała na werandzie, spoglądając, jak wszyscy, na szosę. Też kiwnęła głową, uśmiechnęła się. Piękna, młoda, ubrana z modną prostotą: bosa, w cienkiej letniej sukience, prawdopodobnie bez stanika... Ech, nie zmarniało ziarno, które jesienią zasiałem w ten chłonny umysł.

Spod hotelu rozbiegały się od kwiatonu promieniście ścieżki i dróżki wysypane ceglany szutrem, ozdobione ławeczkami. Nad wodą. niebieszczyła się tzw, muszla z kręgiem tanecznym, przechodząca w molo. Molo kończyło się przy garażu ze sprzętem wypoczynkowym, na wodzie kołysały się już różnobarwne kajaki i rowery pływające. Ośrodek okalało ogrodzenie z siatki na betonowych słupkach. Całość harmonizowała z puszczańskim otoczeniem - zarówno dla budynków, jak i detali plastik zaprojektował barwy nawiązujące do naturalnego tła.

Z magnetofonów płynęły wakacyjne melodie...

Spojrząwszy w prawo, w kierunku wsi, widziało się bielone ściany domostw i szare eternitowe dachy. Za nowymi sztachetami płonęły w ogródkach słoneczniki, malwy, łąbiny. Stare drzewa o pysznych koronach kłębiły się zielono nad domami, bociany przeciągały się, rozwierały skrzydła, klekotały... I wcale nie raziły słupy elektryczne - stały dyskretnym

rządkiem, a druty na tle nieba rysowały się jak pięciolinia z wróbelkami-nutkami. Nowoczesność, technika nie były tu intruzami, współżyły z naturą w rozsądnej symbiozie.

Chata Zakały wcale nie raziła. Wprost przeciwnie: na zasadzie kontrastu podkreślała estetykę innych domostw i sama zyskiwała pozór muzeum, skansenu.

Oczekiwaliśmy gości stojąc między mostem a ośrodkiem, pod aluminiową kompozycją o strzelistych kształtach, upamiętniającą lądowanie człowieka na Księżycu. Grzyb, niezrównany Maciej Grzyb, był i autorem, i wykonawcą tego dzieła sztuki.

Szykownie wyglądał. W szarym garniturze, słomko wym kapeluszu - mógłby śmiało się pokazać w każdej metropolii, w każdym towarzystwie. Wy-szlachetniał nie do poznania: chropowata ongiś, poradlona zmarszczkami twarz zaokrągliła się, wyładniała, nie różniła się niczym od twarzy urzędników powiatowych i wojewódzkich, widać było, że policzki są golone i kremowane przynajmniej raz dziennie. Jeszcze większą odnowę przeżyły jego ręce, o, niczym nie przypominały tamtych topornych łapsk z gruzłastymi knykциями, kopiciejącymi paznokciami. Wyzwolone z kajdan pracy fizycznej, spoufalone z ciepłą wodą, mydłem, gliceryną, przemieniły się w miękkie jedwabiste dłonie o wydłużonych palcach i wąskich paznokciach, w ręce człowieka myślącego.

W jednej z tych rąk trzymał Grzyb periodyk.

W drugiej - aparat fotograficzny.

Grzybowa z kobietami stała... Była w gustownej bluzce, perkalowej spódnicy, lekkich sandałach, podstawiała słońcu twarz ozdobioną ciemnymi okularami. W ostatnim czasie ciało jej, dzięki racjonalnemu odżywianiu się i unormowanej pracy, odzyskało jędrność i zdrowie: twarz zakwitła rumieńcami, policzki, ramiona, piersi wypełniły się tkanką łączną, z tydek znikły żyłaki. Rozmawiała Grzybowa z sołtysiną - też elegancką, odmłodzoną... Przegub okręciła sołtysina smyczą - na jej końcu wałkonił się w trawie Burek... Ale któż by w tym pudełku rozpoznał dawnego Jędrzejowego Burka! Wykapany, podstrzyżony, niespodziewanie nabrał kundel cech rasowych, poza tym - karmiony budyniem i szarlotkami - zmienił charakter: nie gryzł, nie warczał, przymilał się do swoich i obcych, lizał wszelką zwierzynę, nawet kaczki i kocięta...

Zresztą wszyscy - mężczyźni, kobiety, młodzież, dzieci - prezentowali się chędogo, nowocześnie, modnie...

Minuty mijały, podniecenie narastało. Małwina na balkonie czyściła pilniczkiem paznokcie, spoglądając w dół.

Aż doleciał warkot odległy...

Gromada się zakołysała.

- Jadą! Jadą! - zawołano.

- O, autokar!

- Jaki śliczny...

Tak, spośród drzew wychynął autokar jak kolorowe cacko, czerwone chorągiewki furkotały na przodzie. Niespiesznie, uroczyście nadjeżdżał - zza szyby uśmiechał się kierowca, za nim tłoczyli się rozentuzjasmowani goście.

Autobus stanął metr przed sołtysem, rozwarły się drzwi...

Wychodzili głośno, rozradowani, pośpiewując, śmiejąc się - panie w letnich wydekoltowanych sukienkach, panowie w jasnych ubraniach, kilkoro młodzieńców w obcisłych spodniach, długonogie panienczki w króciutkich spódniczkach. Wszyscy z neseserkami, walizkami, plecakami..., W rozgwarze najczęściej powtarzały się słowa „puszcza” i „cudownie”. Gdy ostatni pasażer zszedł ze stopnia, sołtys uchylił kapelusza.

- Witamy serdecznie w Ośrodku Wczasów Letnich w Wydmuchowie - rzekł uprzejmie, ale z godnością. - Andrzej Grzyb jestem, sołtys i kierownik Ośrodka. W imieniu wszystkich pracowników oraz mieszkańców życzę państwu zdrowego i pożytecznego wypoczynku. Rozgoście się, proszę, i czujcie się jak u siebie...

Ojciec przyklęknął, cyknął pamiątkowe zdjęcie, jedno, drugie. Oklaski zahuczały, brawami nagrodzili przybysze zgrabne przemówienie. I czym prędzej rozbiegli się po moście podziwiać okolicę.

- Ach, puszcza! - rozległo się. - Prawdziwa puszcza!

- Jaki tu spokój... jaka cisza...

- Ślicznie, cudownie!

- Co za kraina...

- Te łąki! Ile zieleni, ile kwiatów!

- To już nie łąki, ale kobierce!

- A powietrze! Czujecie? Sam tlen i ozon!

- Rzeczywiście! Tlen i ozon!

- Ach, rzeka, spójrzcie na te zakola!

- Jak błękitna wstążeczka!

- O, ryba!

- Gdzie?

- A tam, przy kamieniu!

- Rzeczywiście! Ryba!

- Ryba!

- Ludzie, ryba!

Ktoś klapnął mnie w ramię - odwróciłem się: stał przede mną rosły mężczyzna w jasnym garniturze. Z brzuszkiem. Łysawy, w ciemnych okularach. W lewej ręce trzymał skórzany neseser. Uśmiechał się.

- Cześć, cześć, Marian, byku kraso! - witał kordialnie, ściskając mi rękę dłonią, wielką, miękką. - Nie poznajesz? - Zdjął okulary. - No co ci? Stach jestem... Wyprostek!

- Stach? - wyrwało mi się z niedowierzaniem.

- Stach? Tak, Stach! - zawołali moi wydmuszanie, wielce uradowani. - No patrzcie, Stach przyjechał! Teraz on przyjrzał się im niepewnie.

- A panowie... kto?

- Jak to, nie poznajesz? - zdziwili się. Ojciec podał mu rękę.

- Maciej Grzyb jestem...

- Łukasz Lipka - przedstawił się Lipka.

- Andrzej Grzyb - przypomniał się sołtys, - Ho, ho, zważniałeś, Staszku!

- No, mów, jak ci się w mieście powodzi - zagadnął Lipka.

- O to nie trzeba pytać. To widać - stwierdził sołtys i z uznaniem poklepał Stacha po dostatnim brzuszku. A ojciec ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Odpocząć sobie przyjechałeś od miastowego zgiełku?

- Od spalin i ciasnoty - dorzucił Lipka.

- Od wind i autobusów... - powiedziałem ze zrozumieniem.

- A tak, kochani, odpocząć. Niby mi się w mieście powiodło, nie narzekam - wyznał Staszek szczerze i ręce rozłożył, żebyśmy lepiej widzieli i garnitur, i krawat, i neseser... - Ale prawdę mówiąc, nie macie mi czego zazdrościć. Ech, jak chciałbym być na waszym miejscu...

- O!!! - zdziwiliśmy się razem.

- Przemyślałem wszystko na nowo i doszedłem do wniosku, że tylko na wsi można żyć pełnym, nieokaleczonym życiem - kontynuował wywód. - Któż lepiej niż wy, kochani moi, wie, co to kwiat, owoc, nasienie! Wy na co dzień widzicie narodziny roślin i zwierząt, ich dojrzewanie, umieranie. I dla tego jesteście tacy szlachetni.

- Poniekąd ma rację - rzekł sołtys.

- Przecież, mówiąc bez ogródek, jesteście wcielonymi dziećmi natury! Synami i córkami słońca! Czy nie z rytmu czterech pór roku wynika cykl waszych prac polowych? Czy nie słońce podpowiada, ba, powiem więcej: dyktuje wam całodzienny rozkład zajęć? Przeżywacie życie wpatrzni w słońce jak w panią matkę. Och, szczęśliwi! Przecież wy od na rodzin do śmierci dotykacie stopami nie zabetonowanej ziemi - i to stopami bosymi! I nie

dziwię się wam, że za swoje pole, za byle zagon oddalibyście życie. Oto za chwilę zdejmiecie te swoje przywitalne garnitury i ruszycie sobie w pole... Ech, szczęśliwi, szczęśliwi...

Sołtys cmoknął, głową pokręcił, skrzywił się.

- Widzi pan, panie Staszku... - zaczął delikatnie, żeby przybysza nie urazić. - Dużo się zmieniło, gdy pana nie było... Ja na przykład w ogóle zrezygnowałem z prac polowych.

- Co? Nie orze pan! Nie sieje? Nie kosi? Nie młóci ?

- Cóż, uprawa ziemi wymaga fizycznego wysiłku, panie Staszku. Pług, kosa, łopata, widły... Nawet maszyny nie załatwiają wszystkiego... A ja, jak pan widzi, nie za bardzo już jestem... - Rozłożył sołtys ręce. - Siły nie te. Nogi słabe... I zadyszka, kto wie, czy nie astma... Płaskostopie do tego... I migrena przy schylaniu się... Niestety, innej pracy muszę szukać niż fizyczna...

- Tradycyjne rolnictwo już się kończy - poparł go Maciej. - Produkcja wyspecjalizowana się liczy, panie Staszku. Lipka na przykład zajął się warzywami...

- Warzywa, ale, oczywiście, nie te banalne typu kapusta, ogórki czy cebula - zastrzegł się od razu Lipka, bo nie chciał, aby Stach wziął go za zwykłego badylarza. - Szlachetne mnie interesują. Brukselka. Kalarepa, panie Staszku. Jarmuż. Szpinak. Szparagi. Planuję przyprawy: selery, pietruszka, koper, anyż, czarnuszka, kminek...

- Twój ojciec na przykład wziął się za hodowlę bydła - kontynuował Grzyb prezentację Wydmuchowa. - O, widzisz traktor tam pod lasem? Koło Horpyny? To właśnie Tomasz kosi lucernę...

- Ojciec?! - jęknął Stach.

- Ho, ho, nie pozna go pan, panie Staszku! - rzekł z uznaniem sołtys. - To już nie ten człowiek...

Stach stracił rezon. Zamiast chwalić, cieszyć się, okłapał.

- A wy? - spytał cicho. - Pan? Grzyb?

- Specjalizacja, panie Staszku... - podsumował sołtys. - Kto ma dużo ziemi, wziął się za rolnictwo wielkotowarowe. Małorolni - za uprawy intensywne. A my, bezrolni lub prawie bezrolni, nastawiliśmy się na usługi... Maciej na przykład elektrotechniką się para i nie narzeka na brak roboty... A teraz, w sezonie, dorobi aparatem fotograficznym, ech, ma człek smykałkę... Madejowa kuchnię prowadzi. Malwina kieruje hotelem. Moja żona bufet trzyma. Ja kieruję całością... Stach wysłuchał tego wszystkiego z opuszczoną głową.

- A tak tęskniłem za moimi Wydmuchami... - rzekł na koniec, raczej do siebie niż do nas. - Tak śniłem...

I, kiwając głową, nie powiedziawszy ani przepraszam, ani do widzenia, minął nas jak

ociemniały.

- Niech pan nie odchodzi, zaraz obiad, panie Staszku! - zawołał za nim sołtys, ale Stach nie zareagował. Oddalał się w stronę domu. Ja, ojciec, Lipka stanęliśmy na moście i, oparłszy się o balustradę, kontemplowaliśmy widok na wczasowisko.

Pierwsi goście, zakwaterowani przez Malwinę, zeszli do stołówki. Widzieliśmy, jak zasiadają do stołów na werandzie, nalewają zupę, świadcząc sobie nawzajem rozliczne uprzejmości. Sypały się pierwsze dowcipy, rodziły się sympatie, znajomości.

Sołtys rozebrał się do kąpielówek i poszedł po motorówkę. Wyciągnął ją z garażu, zapalił silnik, uregulował obroty na najcichsze i, założywszy białą czapkę o długim daszku, pływał tam i sam po rzece, z gwizdkiem w zębach, oczekując pierwszych amatorów kąpieli...

Kto obiad skosztował, na plażę szedł: szli wczasowicze z leżakami, pledami, żartując sobie, swawoląc. Siadali, kładli się na piaszczystej pochyłości. Bez pruderii - w swobodnych pozycjach, mężczyźni kładli głowy kobietom na brzuchach, piersiach - i nawzajem. Śmiano się dużo. Najbardziej wygadani opowiadali jakieś kawały, prawdopodobnie nieprzyzwoite (ale czy nie są na wczasach?), mniej wygadani - przyzwoite, a kto nie miał nic do powiedzenia, brał się do całowania. Najwięcej jednak było takich, co, ułożywszy w słońcu ciało pod najlepszym kątem, nieruchomieli na całe kwadransy, a jeśli poruszyli się, to tylko aby przekręcić się na brzuch czy plecy, okleić nos listkiem albo napić się z butelki.

- Ech, pięknie tu teraz - westchnął Lipka. - Jak na francuskich filmach...

Ojciec poklepał mnie po ramieniu.

- Muszę ci pogratulować - rzekł. - Dopiąłeś swego. To już nie Wydmuchowo, ale Sopot, Międzyzdroje!

- Nie, ojciec - zaproponowałem. - Wydmuchowo. Ale - Nowe Wydmuchowo!

Kilkoro wczasowiczów weszło już do wody, chlapali się, pluskali, czuwał nad nimi sołtys na swej motorówce: gdy tylko ktoś wypłynął za boje, na głębie z czerwoną tablicą „Kąpanie wzbronione”, natychmiast donośnym gwizdem przyzywał ryzykanta w rejon strzeżony.

Z hotelu wyszło dwoje wczasowiczów. Boso byli. Mężczyzna w okularach, kobieta bez okularów. Do nas zmierzali.

- Dzień dobry - rzekł okularnik. - Panowie też tu na wczasach ?

- Jeśli ciężką pracę ogrodnika nazywa pan wczasami, to owszem, jestem wczasowiczem - odrzekł Lipka.

- Szukamy tutejszych chłopów - oznajmiła kobieta. - Chcielibyśmy poznać miejscowe obyczaje.

- O pogodzie pogwarzyć, o urodzaju - wyjaśnił okularnik i Lipka zdziwił się.

- Oho, to pan i meteorolog, i agrotechnik?

Nie zdążył okularnik zaprzeczyć ani potwierdzić, gdyż ojciec nieoczekiwanie zmienił temat.

- O! - zawołał wielce poruszony, przyglądając się kobiecie z zainteresowaniem. - Coś niezwykłego! Pani zapewne sama nie wie, jak bardzo z profilu przypomina pani słynne baby kamienne na Wyspie Wielkanocnej! Ciekaw jestem, czy zgodzi się pani z moją prywatną hipotezą, iż rzeźby te są pochodzenia lodowcowego?

- O czym... pan... - wybąkała kobieta, przestraszona.

- Maciej zajmuje się techniką. A prehistoria to jego hobby - wyjaśnił Lipka.

Grzyb, widząc wykształconych słuchaczy, rozgadał się. - Ostatnio spać mi nie daje pewna teoria - wyznał. - Czy słyszeliście państwo? Oto grupa murzyńskich uczonych twierdzi, iż kolebką dzisiejszej kultury była Afryka. Słyszysz pani? Afryka, ten czarny jak smoła, spalony słońcem kontynent. A naszą europejską cywilizację mają ci ekstremiści jedynie za odgałęzienie wielkiego drzewa afrykańskiego. Zresztą, ich zdaniem, gałąź to zdegenerowana i obumierająca... Co państwo na to?

Kobieta wzruszyła ramionami i, odwróciwszy się od Macieja, spytała mnie, gdzie by tu napić się mleka prosto od krowy.

- Swojskiego chleba spróbować żeby - dorzucił okularnik.

Przyznam się, że trochę mnie rozśmieszyły ich przyziemne, prostackie zainteresowania.

- Ja myślałem, że o filmie porozmawiamy - zaznaczyłem z przyganą w głosie. - O malarstwie. Literaturze południowoamerykańskiej...

- Uciekajmy! - szepnęła kobieta swemu towarzyszowi. I rzeczywiście, wycofywać się zaczęli.

- Może innym razem... Przepraszamy... Do widzenia... - Bąkając coś tam pod nosem, oglądając się na nas z paniką w oczach, uchodzili do lasu.

- Dziwna para - stwierdziłem, zaskoczony ich manierami.

- Dziwna - potwierdził Lipka. - Mleko prosto od krowy jest, po pierwsze, brudne, po drugie, może zawierać zarazki chorobotwórcze.

Z hotelu wyszły Malwina i Grzybicha w białych pracowniczych uniformach. Malwina skinęła na nas ręką.

- Hej, co się tak prażycie w słońcu? - zawołała. - Chodźmy na wodę!
- Idźcie - rzekł Lipka. - Ja nie wziąłem kąpielówek.

Wypożyczyliśmy z przystani dwa rowery wodne: na jednym Grzyb z żoną zasiedli, ja z Malwina na drugim, i wypłynęliśmy sobie popatrzeć na wioskę z dołu, z rzeki. Leniwie kręcąc pedałami, płynęliśmy z prądem pod gorące lipcowe słońce. Z prawej pyszniła się wieś na wysokim brzegu.

- Uff..., gorąco - westchnęła Malwina. Popiła napoju orzeźwiającego i, przymknąwszy powieki, zastygła leniwie w leżaku.

Opalona była. Piękna. Smukłe uda, płaski brzuch, strome piersi... Mocne ramiona... Śniada twarz, przepyszne włosy...

Za nami terkotał rower z Grzybami, Obejrzałem się: matka kręciła leniwie pedałami, ojciec, z gotowym aparatem, obserwował brzeg i co tylko zobaczył jakiś motyw, fotografował.

Ale gdy dopływaliśmy do końca wsi, z Wyprostkowej chaty wypadł Stach ze swoim neseserkiem. Wielkimi susami, ryjąc obcasami brzeg, zleciał nad wodę.

Ciekaw, co się stało, zawróciłem i, pedałując pod prąd, aby nas nie zносиło, czekałem, co będzie.

Stach sapał, widać forsowny bieg niemało sił kosztował. A może widok Malwiny tak go zaskoczył?

- Ty, Malwka? - wysapał. - Ty z nim? I w takim stroju?

A była przecież w normalnym kostiumie plażowym, dwuczęściowym, tyle że krojem i kolorem podkreślającym jej prawidłową budowę i zaawansowaną opaleniznę,

Malwina wyprostowała się w leżaku.

- Stach? - zawołała, też zaskoczona. - Czyżby Stach?... Tak, Stach... ale jakże zmieniony!

- Zmieniony?

- Taki szeroki byłeś w barach, wąski w pasie... Boże, co się z ciebie zrobiło, Janosiku!

- Co?! - Obraził się. - Ty najpierw sobie się przyjrzyj, ty... kokoto! Popatrz na tych frantów! - wskazał ręką Grzyba i Grzybową na hydrorowerze, którzy zatrzymali się przy nas i tak samo pedałowali, aby prąd nie znościł.

Stach pochylił się, ucapił garścią piachu, sypnął we mnie.

- To przez ciebie to wszystko, ty naprawiaczu świata! Przez ciebie, draniu!

- Tylko nie draniu! - zawołałem obrażony. - Licz się, Staszek, ze słowami!

Zawarczała motorówka - sołtys nadpływał, usłyszawszy krzyki. Stach uszy zatkał, nogami zatupał.

- Gdzież oni, ci prości, szczęśliwi ludzie! - załkał. - Co z nich zrobiłeś? Co zrobiłeś z tą rajską okolicą! Z polami! Płacząca brzoza pod kurhanem - ścięta!

- Orać przeszkadzała! - krzyknął za mnie sołtys.

- Maliny przy Bartoszowej drodze, bzy, czeremchy - wyplenione. Krzyża, Jakubowego krzyża na rozstajach - nie ma!

- Drogę trzeba było poszerzyć...

- Kurhan splantowany! Rzeka zmeliorowana!

- Nowoczesna gospodarka, panie Staszku, nie toleruje takich senty...

- Czy wy nie widzicie, co się stało ze świętym żytem? - zamachał Stach rękami, wydawało się, że zaraz ciśnie w nas swoim neseserkiem. - Nie słyszycie, o czym szumią kłosa? O wydajności z hektara szumią! O skrobi! O kaloriach!

- Deficyt paszowy zmusza nas, panie Staszku, do wielu... - próbował perswadować sołtys, lecz Stach się zapienił.

- A krowy na pastwiskach! - darł się. - Boże! Czy snują się jak kiedyś po wygonie? Czy porykują do nieba? Nie! One żrą, obżerają się na wyścigi! Dalibóg, one ścigają się, która więcej mleka uciula! Która tłustsze! Boże, nawet krowy, nawet one już gonią za sukcesem, za modą!

Wyprostek nadbiegał, w kombinezonie był. Spoconą ręką otarł czoło.

- Stachu! - rzekł sapiąc. - Wracaj! Lucernę trzeba, Stachu...

- Lucernę! - przerwał mu Stach i zamierzył się w ojca neseserkiem. - A na co ojcu ta lucerna?

Te maszyny! Te chlewnie, obory!

- Nie znasz się, nie gadaj! - ofuknął go stary.

- Kiedyś, jak jeszcze byłeś ciemnym chłopem, miałeś czas i poleżeć sobie w chłodku pod jabłonią. I na przyzbie posiedzieć. I różaniec zmówić... A teraz? Harujesz jak wół tymi maszynami, latasz jak oparzony, zamiast, jak kiedyś, kosą sobie, pomaleńku.

- Kosą za wolno - rzekł Wyprostek.

- A dokąd ci tak spieszno? Do zawału? - jęknął Stach.

- Kiedy ja już nie chcę być ciemny - rzekł Wyprostek.

- Miasto czeka na jego chleb, a nie na różaniec i przysłowia - zauważył trzeźwo sołtys.

Stacha poniosło.

- Miasto?! - wrzasnął. - Takie same darmozjady jak i wy!

- Nie jesteśmy darmozjadami - odparł sołtys godnie. - Wzięliśmy na swoje barki usługi...

- Usługi?! Ech, wy, cwaniacy! Wydrwigrosze!

Nie chcę mieć nic wspólnego ni z wami, ni z tą spustoszoną okolicą! Wyjeżdżam!

- Dokąd? - spytałem krótko.

Stach nie odpowiedział. Zakręcił się w miejscu i, splunąwszy w naszą stronę, ruszył w pole, na przełaj, do lasu.

- Dokąd? - powtórzył moje pytanie sołtys.

- Do afrykańskiej puszczy? - zawołał Maciej. - Kiedy i tam już koleje i rafinerie...

- Wracaj! - krzyknął Wyprostek, ale nadaremnie. Wielkimi krokami, przygarbiony, z neseserkiem w prawicy, oddalał się Stach w stronę puszczy. Ludoman? Naturszczik? Hippiś? Co z nim się stało?

- Może mu się w mieście nie wiedzie? - wyraził przypuszczenie ojciec.

- A może przyjechał pokazać się, pomądrzyć - a tu my nie gorsi? - zastanawiał się sołtys, jak i my zdziwiony zachowaniem się Tomaszowego syna. - No, muszę wracać, plaża nie strzeżona - rzekł i, uruchomiwszy silnik, odpłynął z warkotem.

I my ruszyliśmy w stronę ośrodka. Grzyb nastawił przesłonę i sfotografował nas - mnie i Malwinę - na tle mostu.

- A może mu o Malwinę poszło? - zastanawiała się głośno matka. - Ech, Marian, Marian - westchnęła. - Taka dziewczyna! A ty...

- Do żeniaczki ty nie namawiaj! - ofuknął ją ojciec.

- Kto tu mówi o żeniaczce... - skrzywiła się matka. - Oni nawet jeszcze ze sobą nie spali.

- Nie? - zdumiał się ojciec. - Naprawdę, Malwino? Jeszcze z nim nie spała?

- Nie układało się jakoś - wyjaśniła.

- A co? Kompleksy? Zahamowania? - Ojciec przyjrzał się mi badawczo.

- Weźcie pokój w hotelu i już! - doradziła matka. - Szkoda ciał, póki młode.

- A co to, domu nie mają? - obruszył się ojciec. - W domu przecież mogą.

Malwina zwróciła ku mnie swoje oczy przepaściste, błękitne.

- I co ty na to, Marian? - spytała swoimi zmysłowymi jak zwykle ustami. - pracę kończę o dwudziestej. Przyjść?

Ułożyłem książki, poprawiłem łóżko, ogoliłem się starannie i, chodząc po pokoju od drzwi do stołu, od stołu do drzwi, czekałem.

Zegar cykał, przybliżając drobnymi kroczkami wymarzoną chwilę...

Słodycz oczekiwania na nasze szczęście mąciło mi jednak wahanie, czy aby mam już prawo do tej, jakże osobistej przyjemności. Owszem, udało mi się - mówiąc słowami Mędrca - wyrwać wydmuszan z „idiotyzmu życia wiejskiego”, uczłowieczyć. Ale ileż jeszcze takich starych Wydmuchowów czernieje na mapie kraju... A na mapie świata?... Czy mogę oddawać się partykularnemu samozadowoleniu, gdy w Afryce, Azji, obydwu Amerykach miliony egzystują niczym ongiś wydmuszanie? A nawet idiotyczniej ..

Wskazówka minęła dziewiętnastą, dzień się miał ku wieczorowi - ja wciąż chodziłem niespokojny.

Odmówić? Przeprzić i powiedzieć, że może kiedyś, innym razem - gdy już na kuli ziemskiej nie będzie ani jednej istoty cierpiącej ?

Czy nastąpi to jeszcze za naszego życia?

A jeśli - to czy nie będziemy za starzy?

Co robić?...

Odmówię - ale czy mam prawo w imię dobra milionów zawieść jednego człowieka? I to tego najbliższego? Czy zrozumie Malwina, dlaczego się wycofuję ?

Trudna kwestia...

A poza tym - może właśnie dla dobra milionów mam prawo do chwili szczęścia? Będę szczęśliwszy - będę i mocniejszy, wytrwalszy. Bo cóż ludziom po mnie zgorzkniałym, okaleczonym?

Tak, mam nie tylko prawo, ale i obowiązek przeżyć trochę szczęścia z drogą mi kobietą!

Do takiego wniosku, wierzę, że słusznego, doszedłszy, sięgnąłem po podręcznik z zakresu życia płciowego Powtarzając najistotniejsze rozdziały, czekałem na tapczanie, półleżąc.

Przyszła zaraz po dwudziestej, prosto z recepcji. Rozejrzała się po moim niebogatym, ale schludnym pokoiku. Zapaliła nocną lampkę, zasłoniła okno. Była znużona wielogodzinnym dniem pracy, dlatego też od razu odpięła tresę i, zdjawszy garderobę - zresztą nie za obfitą o tej porze roku - położyła się na tapczanie.

Z nadworza wdzierało się przez firankę kwilenie ptaków, świergoty, trele.

- Słowiki... - uśmiechnęła się nago - Jeśli cię irytują, mogę włączyć radio..

Zajęła się skalą i pokrętem „Pioniera”, ja - czytając - pozbyłem się niepotrzebnego ubrania.

Pukanie się rozległo - to matka zajrzała spytać, czy nie trzeba nam czego.

- Może wina, dzieci? - zaproponowała opiekuńczo. - Przyjemnie; się współżyje, jak jest pod ręką dobry trunek.

- Nie, mamó, nie warto - zaproponowałem znad podręcznika. - Alkohol stępiea wrażliwość.

Matka przysiadła się na tapczan.

- Może i racja - westchnęła. - Może i racja... A co słyhać ? - spytała Malwiny zajętej radiem.

- Nic specjalnego... - odpowiedziała. - Nowa fala w filmie włoskim.

- O, to już trzecia tego roku.

- Wystrzelono kolejnego sputnika...

- No to już sobie pójdę - na to matka i wstała. - Dobrej nocy wam życzę, dzieci.

Harmonij

nej - powiedziała wychodząc.

Malwina podziękowała. A ja odłożywszy książkę przytuliłem się do niej, szukając rękoma miejsc szczególnie atrakcyjnych i erogennych.

- Co robisz, szalony! - zawołała.

- Zaczynam wstępna...

Odsunęła się nieco.

- Może porozmawiajmy? - zaproponowała. - Wiesz, Marian... Ostatnio coraz częściej przyłapuję się na tym, że myślenie o stosunku daje mi więcej przyjemności niż sam stosunek.

- O! - zmartwiłem się. - To nienormalne!

- Normalne... Myślę, że wzrost świadomości nie może do tego nie doprowadzić.

- A często współżyjesz?

- Coraz rzadziej. Prawdę mówiąc, nie ma z kim. Z prymitywnymi? Kiedy tacy bez horyzontów w ogóle mnie nie podniecają. I dlatego tak cieszę się, że jestem z tobą. A ty?

- Jestem szczęśliwy, Malwino - wyznałem.

Bo istotnie czułem się szczęśliwy. Tyle mi się udało! Wszystko, co zaplanowałem sobie ongiś, do czego dążyłem, zostało zrealizowane. Czy nie zasłużyłem przeto na chwilę szczęścia ?

Malwina pogłaskała mnie po ręce.

- Tyle ci zawdzięczam, Marian... - szepnęła. - Gdyby nie ty, żyłabym po dawnemu.

Jak ćma. Bez najmniejszej refleksji nad sobą, nad światem...

- On... - wskazałem portret Mędrca nad wezłowiem. - On nazywał takich „workami kartofli”...

- A teraz - myślę. Czyli żyję. Cogito, ergo sum.... Och, Marian... Dobrze mi...

- Wprowadzić?

- Czy ja wiem... Tak przyjemnie się rozmawia.

Leżeliśmy twarzami do siebie, oczy w oczy, rozumiejąc naszą rolę i miejsce - i we wsi, i w Kosmosie, i na tapczanie. Położyłem rękę na jej biodrze, zdemitologizowanym, a przecież ponętym, jej piersi oddychały przede mną żywo, ale bez egzaltacji. Patrzyliśmy sobie w oczy rozumnie: bez naciąganej wesołości i niepotrzebnego smutku.

- „Cały ten widzialny wszechświat to nieskończona kula, której środek wszędzie, powierzchnia nigdzie” - szepnęła.

- Kto to?

- Pascal. Blaise Pascal.

- I co ty w nim widzisz, w tym mistyku? - zdziwiłem się.

- O nie, mój drogi! - obruszyła się. - To od niego powędrowałam w topologię, probabilistykę, teorię przyczynowości... Pasjonuje mnie rola przypadku w stworzeniu świata, w powstawaniu nowych gatunków... Ach, fascynujący jest spór determinizmu z indeterminizmem...

- Możliwe - powiedziałem i przytuliłem się odczuwałem bowiem ochotę nie tyle na wymianę poglądów, co na przeżycie najintensywniejszej formy więzi międzysobniczej. - Determinizm determinizmem, ale czy nie moglibyśmy...

Malwina usiadła.

- Znasz zasadę Heisenberga? - spytała, wielce podniecona.

- Nie - przyznałem się.

- O, powinienes! - skarciła. - Ten wielki uczone sformułował tak zwaną zasadę nieokreśloności, inaczej nieoznaczoności, niepewności...

Sięgnęła po kartkę, ołówek.

- Według Heisenberga - kontynuowała - nie można, Marian, określić równocześnie obydwu podstawowych danych układu. Zobacz... - Narysowała schematycznie elektron. - Jeśli elektron przedstawimy tak... A tu mamy instrument... Jeśli dokładność tego instrumentu jest rzędu... to zobacz, że wtedy...

Położyłem się na wznak i z rosnącym podziwem słuchałem wywodu. Wiedziałem, że Malwina rozwinęła się bardzo. Ale że aż tak - nie przypuszczałem. Brzask dopiero zmusił ją

do przerywania wykładu. Poszła do domu odpocząć przed pracą, ale obiecała przyjść wieczorem dokończyć o Heisenbergu.

Obudziło mnie gwałtowne stukanie. Odemknąłem oczy - pod oknem stali ojciec, matka, sołtys, bili pięściami w ramę.

- Nieszczęście, wstawaj, Mamuś! - wołali panicznie. - Katastrofa!

Usiadłem.

- Co za katastrofa?

- Wczasowicze nas porzucili!

Wczasowicze? Porzucili? Jak to - porzucili? Przecierając oczy usiłowałem coś zrozumieć.

- Wszyscy u Zakały siedzą! Wstawaj że, ratuj! - domagali się.

Skoczyłem do okna, wyrząłem. Rzeczywiście: podwórze za płotem huczało od ludzi. A plaża? Pusta!

- Powariowali? - pytała matka, siebie, nas, świata. - Trującego co zjedli?

- Może to udar? - zastanawiał się ojciec. - Słońce wczoraj było ostre...

Widok przypominał sceny z filmów o egzotycznych barbarzyńcach. Póldzikie wrzaski, gwizdy, jodłowanie, tokowanie, bełkoty gwałciły ciszę śródleśną, mrowie ludzkie roilo się, miotano między budynkami Zakały! Kilkoro półnagich dzikusów wdarło się na gruszę, huścili się na gałęziach udając małpiatki. Jeden golec siedział na stodole: łopotał rękoma jak skrzydłami i piał rozgłośnie. Kilkoro ujeżdżało szkapę, inni drażnili się z baranem - łechtali go, szczypali i uciekali, pokwikując, przed rogami! Dwóch rozkrwawionych mężczyzn mocowało się na ziemi. Kobiety podjudywały ich, klepiąc się - podniecone - w kolana, ktoś chodził na rękach, jakiś młodzian na czworakach obszczekiwał psa, dwóch nagich cymbałów pod wierzbą porównywało genitalia, inni cwałowali z gałęziami, jeszcze inni taplali się w rzece, goło i w ubraniach.

- Może spili się? - wyraził przypuszczenie sołtys.

Za drogą, nie opodal rzeki wykwiatał spomiędzy tłumu pióropusz ognia: Zakalicha smażyła placki! Płyta kuchenna leżała na dwóch kamieniach, pomiędzy nimi buzowały płomienie, Pietrek podrzucał chrustu do ognia, dwoje Zakaląt obierało kartofle, dwoje tarło je ręcznie nad korytkiem - Zakalicha zaś, babsko wielkie, spocone, przewracała placki na dwóch patelniach, dosmażała i rzucała w nadstawione ręce.

- Na zdrowie! Zryjta! - zachęcała.

- I la mnie, gosposiu! - darli się, przepychali. - La mnie! Tera moja kolejka.

- I la mnie! La mnie!

- I jo kce!

- I jo!

- Oj, nie bądźta, ludziska, take nachalne! - strofowała, inkasując grosiwo pod zapaskę.

- Po porządku! Nu mas! Mata! Zryjta, zryjta z Bogiem!

- Zryjta! - powtarzali z zachwytem. - Jak wieprze!

- Jak konie!

- Zryjta!

- A pieniądze, Błazejowo, dzie pójdo? Do pońcochi, nie? Abo do siennika, hę hę hę, o, już my znamy wase chłopske pazerność!

- A co! - odparła baba. - Od ziarka do ziarka i jałowice kupi się! A jak dobrze pódzie, to i na stodołę będzie, przychodźta, ludkowie, co dzień przychodźta!

- Na stodołę, mówicie, będzie? Na drewniane?

- Nie, murowane.

- Oj, gospodyni, po co wam murowana? Drzewianną stawcie!

- Yy, arfiteftura zyzwolenia na drzywianne nie dajo - westchnęła baba, wysypując kolejną porcję placków, grosiwo znowu inkasując. - Pewno, co drzywianna lepsa, ale trudno - jak nie mozno, to nie mozno...

- Ja wam w powiecie załatwię! - zapalił się mężczyzna w okularach, dwa cebrzyki przytaszczył na koromyśle z rzeki. - Załatwię, mam znajomości!

- Załatwicie, panie? A niech wam Pambóg wynadgrodzi, dobry cłeku! - ucieszyła się kobieta. - O, mas tu placka na bógzapłać! Hę, woda? A na co woda?

- Do płukania kubków - rzekł okularnik. - Czysta, bieżąca!

- A kto by tam płukał! - machnęła ręką Zakalicha pośród dymu. - A co to, parsywe tu som cy co?

- No jasne! - poparli ją chórem inni. - Same swojaki tu som, zdrowe, nie scepione! Nie myć kubków!

Mlekiem częstował Zakała: cztery kroki od paleniska doił krowę do skopka - wczasowicze siedzieli wokół niego na trawie jak Buszmeni. Podtykali krowie zielsko pod pysk, drapali między rogami, dziwowali się, że wymię ma krowa między nogami tylnymi, a nie przednimi, ciągal za ogon, podziwiali wystające zebra.

- Ho ho, to jest krowa! - chwalili. - Nareszcie prawdziwa wiejska krowa!

- Zamorzona przysłowiowo! Po chłopsku!

- Co? Ze chuda? - gadał Zakała ciągnąc krowinę za cycki. - Yy, nieważne je, chuda

ona

cy

kłusta - ważne, zęby mleko miała... O! - umoczył łapę w skopku i wyciągnął im pod nosy, aby polizali. - Widzita, jakie kłuste? Sama śmietana! Krowa im chudsza, tym kłustse mleko ma! Uj, sprawny bydlacek... Odstąp się! - warknął i łupnął krowinę zamasyście w zębra.

- Tak, tak - potakiwali wczasowicze i wczasowiczki zajadając placki z ręki, popijając z jednego kubka. - Surowe tu życie!

- Byle nie umrzeć! Byle do przednówka! - Tu nie salony!

- A jak w stodole? - zainteresował się młody w białych portkach. - Siano jest?

- Głowa, znaczy się piersy pokos, już w stodole - odrzekł Zakała, ogryzając paznokcie u nogi i popluwając. - I koniucyna je!

- To można by tam zanocować?

- A czemu nie... Aby parę grosy...

- Zapłacimy! Słyszysz, Magda? Hej, chodź, przeniesiemy rzeczy, na sianie dziś będziemy spali! Na sianku!

- A nas przyjmiecie? - dopraszali się drudzy. - Przyjmiecie? Ach, siano! Na sianie spanie!

- Dość mamy tego luksusu!

- Fasolek bretońskich!

- Dżezu w puszczy!

- Plaży strzeżonej!

- Tej Riwiery zafajdanej!

Kilkoro golców pobiegło do hotelu i zaraz ukazali się Z walizkami w rękach... biegli do Zakałowej stodoły! Sołtys szarpnął kołek u płotu.

- Nie, tego nie zniosę! - jęknął. - Wpadnę z pałą i rozgonię tę czeredę! Uch, ten Zakała! Uch, czemu go nie podpaliliśmy!

- Przegraliśmy... - rozszlochała się matka, łyzy kapały na jej biały uniform gastronomiczny. - Tyle roboty, tyle zachodu, i wszystko na nic! Oj, synku, synku... Może lepiej było wcale z tym postępem nie zaczynać...

- No, no, Janka, nie przesadzaj - upomniał ją ojciec rozsądnie. - Żyć, jak żyliśmy? Kapuche zreć? Kartoflami postnymi się opychać ?

Patrzyłem bez słowa. Nie, tego nie mogłem pojąć. Dlaczego ci kulturalni ludzie...

Malwina wyszła Z hotelu, dołączyła do nas. Nie wyglądała na zrozpaczoną.

- I co się uśmiechasz, jakbyś wszystkie rozumy pozjadała! - sarknął sołtys. - Jak wiesz, co robić, mów!

- Przeczekać - odparła. - Za parę dni znudzi się im i wrócą do ośrodka...

- Za parę dni! - rozzłościł się. - Kiedy każdy dzień kosztuje! A ty - syknął do mnie - mów coś! To ty byłeś za skansenem u Zakały. A zresztą twój to pomysł, to całe lotnisko! No i masz, wykierowałeś nas, bratku... Czy widzisz jakieś wyjście? - spytał mnie ojciec rzeczowo. - Bo coś trzeba robić...

- Ich coś opętało... - zawyrokowałem. - Obce wpływy... Trzeba pójść, przemówić do rozumu... Uświadomić...

- Kogo uświadamiać! - zachnął się sołtys. - Tego decybela? - Wskazał gołca na stodole: stał na jednej nodze, ręce rozpostarł jak bociek i klekotał. - Co, tego zbrojeńca chcesz przekonywać? - wskazał letnika obszczekującego budę. - Tych degeneratorów wychowywać? Gdybyż to byli prości ludzie...

Krzyczał na mnie, a właściwie - żalił się rozpaczliwie, tyle bólu, tyle zawiedzionych nadziei pobrzmiwało w jego głosie. Cofnąłem się od okna, żeby nie widzieć pobojuwiska i klęski naszej. Obułem się, ubrałem. Wiedziałem, że muszę pójść do tych pomyleńców, przemówić. Pod oknem zbierali się inni - inni Grzybowie, Lipka, sołtysina... Liczyli na mnie, wierzyli, że kto jak kto, ale ja, magister, potrafię złu zaradzić.

Odprowadzany ich serdecznym wzrokiem, ruszyłem do chorego obozu. Co uczynię? Co powiem? Jeszcze nie wiedziałem, nogi same niosły mnie w kierunku paleniska, tam było najtłoczniej. Nie zwracano na mnie uwagi - dopóki nie wlażłem na kłodę i nie zawołałem:

- Ludziee! Braciaa!

Ten i ów, kto bliżej był, obejrzał się.

- Ludzieeee! - zawołałem raz jeszcze, usiłując przekrzyczeć barbarzyńskie odgłosy. - Braciaa! Obywateleee!

Czekałem z uniesionymi rękami. Musiało być w moim krzyku coś przejmującego, bo wokół uczyniła się wyspa ciszy... Coraz większa. A gdy wrzaski ucichły do szeptów tylko, zawołałem z głębi serca:

- Ludzie! Bracia! Obywatele! Czy po to człowiek przez tysiąclecia zmagął się z przyrodą, wydierał jej tajemnice... Uczeni cierpieli nędzę i prześladowania... Czy po to bojownicy o postęp przelewali krew i gnili w kazamatach, żeby teraz...

- Ale pieprzy! - krzyknął ktoś z tłumu i zagwizdał na palcach.

- Co to za frajer?

- Pomyłony jakiś?

- Z księżycyca zleciał ?

- ... żeby teraz narkotyzować się samogonem, ta rzać w piachu, cofać się do epoki

kamienia...

- Helka, kto to? - wrzasnął Zakała, wytrzeszczając na mnie swoje mętne oko. - Czy ja dobrze

widzę? Czy to nie mafister?

- Tak! - odkrzyknęła. - Maciejak!

- Co? Maciejak?! I znowu o postępie gada, ancykryst?! Bij, hada! - zawył Zakała, do ognia podskoczył.

I z głównią, rozpaloną głównią rzucił się ku mnie.

- Aaa! - ryczał, pędząc z syczącą żagwią. - Zabiję hada! Zgładzę!

A za nim, wyjąc po indiańsku, rechocząc, rzucili się na mnie wczasowicze.

- W ogień misjonarza!

- Usmażyć!

- Ugotować!

- Ju-huuu! Ugotować!

Patyki, kamyki posypały mi się na głowę. Wystartowałem, zrazu wolno, ale już Zakała żagwią mi w oczy zaświecił - zasyczało - przyspieszyłem - prześladowca prawie dotykał ogniem potylicy, z prawa i lewa zabiegli drogę rozwydrzeni letnicy z grabiami, kijami w łapach, pędzili mnie, dranie, prosto w rzekę.

- Chciałem cię z dna wydzwignąć, człowieku! - tłumaczyłem Zakale przez ramię, przemierzając plażę z dużą szybkością. - Ciebie ocalić i twoje dzieci!

- Milc, ancykryście! - chrząkał nad karkiem. - Zatłukę, hadzie, zgładzę na chwałę boże!

- Trzymaj, łapaj! - wyli barbarzyńcy.

Tuż przed moim pierwszym kamieniem świsnął mi nad uchem - skoczyłem - chlupnęło! O nie, nie dam się wam, degeneraci, jeszcze mnie popamiętacie, dranie, złoczyńcy, zarzekałem się, zmagając z nurtem. A oni, ciskając we mnie patykami, piachem, szyszkami, biegli wzdłuż brzegu, ciesząc się,

- O, jak nurkuje!

- Jak rekin!

- Cha cha cha, ale sapie!

- Patrzcie, pod prąd chce płynąć! - Płynie!

- E, za słaby.

- Nie da rady, burek...

- O, już z prądem...

- Dobrze mu zrobi taka kąpiel...

- Taki zimny prysznic...

Przestałem walczyć - z braku sił i aby nie robić draniom z siebie widowiska. Woda unosiła mnie bezwolnego. Chaty na wysokim brzegu białe ślicznie, druty elektryczne na tle nieba czerniały jak pieciolinia muzyczna z wróbelkami-nutkami, a ja płynąłem w ubraniu, w pantoflach... tą samą trasą, którą jeszcze tak niedawno kontemplowałem na rowerze wodnym z moją piękną Malwiną... Co za siły wraże zakłóciły planowy bieg przemian, któż sprawił rozumowi takie urągowisko! A może... może to sprawka Horpyny?

Czyżby ona?...

Za wsią wygramoliłem się z rzeki i, wyżawszy ubranie, wpadłem do lasu, chlupot w butach wtórował moim krokom. Na przełaj, przez gęszczary i paprocie, nie zważając na ciernie i sęki, przedarłem się do chatki pod zielonym dębem, wściekły taki, że gdyby niedźwiedź wyszedł mi naprzeciw, powaliłbym go jednym uderzeniem pięści.

Ale nie wyszedł...

Stanąłem przed drzwiami, zdziwiony ciszą.

Tylko wąż przemsknął pod progiem, zresztą bezszelestnie. Pod ścianą poniewierały się zioła, walały grzyby.

Czyżby umarła Horpyna... i rozprężyły się siły spinające bezład świata? Niedobrze, niedobrze z tobą, magistrze, jeśli już metafizykę dopuszczasz do głowy, skarciłem się w duchu i nacisnąłem kławkę.

Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku izby, ujrzałem w łóżku Horpynę. Leżała bez ruchu - chyba spała. U wezłowia spoczywała gruba księga, zauważyłem tytuł: „Przyroda i technika”. Po chacie buszował w rozprężeniu zwierzyniec czarownicy: sowa wydziobywała kaszę z garnka, kot zadusił kruka i ogryzał kości, siwe pióra walały się po podłodze. W kącie...

Cofnąłem się do proga!

W kącie niedźwiedź pił miód z lipowej dębki - gdy nasze oczy się spotkały, beknął ostrzegawczo... wstał, ale zachwiał się, opadł zadkiem na podłogę. Odbiło mu się. Był pijany jak bela.

- Horpyno! - zawołałem, nie za głośno, żeby zwierzęcia nie rozdrażnić, nie za cicho, żeby znachorka dosłyszała. - Co się stało, babko Horpyno?

Nie, nie spała - leżała na boku i apatycznie patrzyła w ścianę.

- Horpyno! - przyzwałem ją raz jeszcze do rzeczywistości.

Staruszka dźwignęła się nieco i, wsparta na łokciach, poznawała, kto przyszedł.

- A, to ty... - mruknęła niechętnie.

- Ja, babko!

- A co taki mokry?

- A to niby Horpyna nie wie? - spytałem podejrzliwie.

- Skąd mam wiedzieć?...

- Nawet jeśli to nie twoja, Horpyno, sprawka, to i tak powinnaś wiedzieć, co się stało.

Ty przecież wszystko wiesz...

-Ja nic już nie wiem... - mruknęła gorzko. - I to przez ciebie, ty... ty nauczycielu...

- Przeze mnie? Przecież nic wam złego nie zrobiłem, babko! - zawołałem, poruszony, za dużo grzechów zwalano na mnie.

- O, przez to świństwo... - wskazała książkę. - Zaczęła ja czytać i... Ech! - westchnęła boleśnie, opadła na wyrko. - Utknęła ja w pół drogi... Ni w te, ni wewte... Książkowej wiedzy pojąć nie mogę. A swoją moc, tajemną, postradała ja... I czuje, że na zawsze! Jeszcze niedawno fraszko było dla mnie wagon cegły wam sprowadzić z daleka. A dziś? Ech... Wtem niedźwiedź capnął ze stołka encyklopedię - rozsiadł się nad nią w kącie, szarpnął pazurami! Horpyna uniosła się na wyrku.

- Miszka! - sapnęła. - Oddaj książkę, to nie nasza!

A niedźwiedzisko, pomrukując mściwie, darło księgę w strzępy, kartki zawirowały.

- Rozkazuję ci, przestań! - krzyknęła Horpyna. - Rozkazuję, czy nie słyszysz mnie, Miszka!

Zaklął ordynarnie... I kontynuował dzieło zniszczenia.

- Miszka! - zawołała wtedy Horpyna rozpaczliwie. - Ja cię zaklinam! Zaklinam ciebie na Peruna, na Wiją, na Lelum, Polelum: przestań! Miszka! Nie chcesz słuchać zaklinania? To ja proszę, Miszka! Słyszysz, proszę: przestań!

Schwyciłem kostur spod pieca, aby kosturem wytrącić zwierzowi nieszczęsną księgę. Ale niedźwiedź zaryczał dziko. Trzepnąwszy na odlew łapą, złamał Horpynowy kostur i zerwał się na nogi.

Opuścił łeb - dźwięk nieartykułowany z paszczy wydobył - i mnie odtrąciwszy na ścianę, huknął barkiem w drzwi: wywalił, przesadził powaloną sosnę i, opadłszy na czworaki, pogalopował w las, w knieję!

- Opuścił mnie! - rozszlochała się starucha, duże, białe łzy wypłynęły na policzki, spełzały po zmarszczkach, brodawach. Bezzębne usta marniały jakąś skargę, podbródek starczo dotykał nosa...

Żal, żałość taka, jakby to ze mnie życie uchodziło, krew wyciekała - niewysłowiona

żałość ścisnęła mi pierś.

Wtem sowa szurnęła przez okienko, kot czmychnął za nią jak ryś - Horpyna załkała głośno, ach, przejmujący jest płacz starych, co zbankrutowali nad grobem,

- Odwagi, Horpyno! - pocieszałem staruszkę, gładząc siwe zakurzone kosmyki. - Nie płacz, przyniosę ci nowe książki...

- Nie chcę twoich książek! - jęknęła. - Przez te twoje książki zmarnowała ja życie... O Boże, Boże... Bodajbym cię nigdy nie spotkała!

- Horpyno!

- Precz, precz z oczu, ty... niszczycielu!

- Och, babko...

- Jaka ja babka dla ciebie! - wydyszała nienawistnie. - Czego tu przylaz? Z czego jeszcze chcesz mnie obrabować, złodzieju!

Zakrztusiła się, rozkaszała...

Trzęsącą się ręką podniosła z podłogi ułomek kostura, zamierzyła się .. Nie czekałem, aż uderzy.

Z początku odwiedzali, zachodzili spytać, co mi jest, co dolega, czy aby nie zachorowałem po fatalnej kąpeli. Ale że najczęściej leżałem twarzą do ściany, nie odpowiadając ni na słowa współczucia, ni na pytania, orzekli, że trzeba dać mi spokój, dopóki kryzys nie minie. I dali. Czasem tylko Grzybicha postąpiła dłużej nade mną, pokiwała głową z matczyńskim smutkiem. Malwina parę razy wstąpiła. Sołtys próbował zmobilizować do działania.

Drgnęło mi serce dopiero, gdy usłyszałem, że wczasowicze wyjeżdżają. Pod moim oknem siedzieli na ławce Grzybowie, sołtys, sołtysicha, złośliwie komentowali tryumf Zakały. Dolatywały pożegnalne okrzyki, śpiewy oraz rzewne melodie na skrzypcach.

Zwlokłem się z łóżka i, stanąwszy przy oknie, oglądałem przez firanki sprawców mojej klęski.

Wychodzili z podwórza Zakały z walizkami i ne-seserkami, słomę mieli we włosach, siano na rękawach. Zakalicha stała z michą racuchów i częstowała na drogę, Zakaleta sprzedawały im z kosza poziomki i czarne jagody, Zakała przepijał samogonem. Podchmielony, objął poufale żonę okularnika.

- Hu, hu, aleć tobie, Magda, przybyło sadliska! - chwalił, obmacując. - I w sobie, i w kłębach! Ha, daj ze jesse raz gapy, mazepo!

Okularnik Zakalicę ściskał na pożegnanie, podszczypywał. A gdy przystąpił do Zakały, łyzy popuścił.

- Pamiętaj, Błazek: Świętokrzyska siedemnaście, jak bedzies w mieście, wstąp koniecznie! Ugościm jak rodzinę...

- Dobra, Krzychu, wpadnę! Zaraz po kopaniu! - obiecał Zakała, całując się z okularnikiem po bratersku. Wycelowawszy się, okiem rzucił w moją stronę, na widzów siedzących pod oknem. Łokciem trącił Krzycha.

- A te Chrancuzy, chi chi! - cieszył się. - Mają za swoje, co?

- Snoby! - mruknął okularnik.

- Zblazowani mędrkowie - dorzuciła Magda.

- Pozerzy! - poprawił ich ktoś trzeci, przystępując do Zakały, do jego pyska i butelki.

A pod oknem zazgrzytały zęby. To sołtys pomstował na zbuntowanych mieszczuchów.

- Prostoty im się, psiekrwiom, zachciało - przeklinał. - Prymitywu! Egzotyki!

- Pofrustrowali się w mieście - dodał Grzyb. - I śnią o pradziadach... Ubogich, ale szczęśliwych.

Pomilczeli chwilę. Ale nienawistne było to milczenie.

- A co z magistrem? - spytał sołtys. Na wszelki wypadek odstąpiłem od firanki. - Dlaczego nie był wczoraj na zebraniu?

- A, dajcie jemu spokój, biedaczkowi - powiedziała Grzybicha.

- Zamknął się, przeżywa... - dorzucił Grzyb.

- Nie je, nie pije... Leży, chudzinka, na łóżku, w ścianę patrzy. Z nikim nie rozmawia...

- Nie dał rady - orzekł sołtys. - Za pocziwy...

Zawarczało - autokar drgnął - ruszył - Zakaleta zerwały się do biegu, biegły za samochodem, Jaś na skrzypcach grał „Hej ode wsi do miasta, hej, gościniec prowadzi...”, letnicy zakołysali zza szyb dłońmi na pożegnanie, Zakalicha rozpląkała się, oczy zapaską przesłoniła, Zakała zamachał obiema rękami w górę uniesionymi. Machał i machał, aż autobus przejechał most i przepadł w zieleni za rzeką...

A gdy tylko przepadł, rozległo się przeraźliwe gwizdnięcie na palcach. Wyjrzałem za okno.

Oto na sygnał dany przez sołtysa z Grzybowej stodoły wypadli wydmuszanie: z siekierami, piłami, bosakami, snopkami. Nie rozumiałem...

Oto ni stąd, ni zowąd sołtys chwycił bosak i zerwał nim kabel elektryczny ze słupa!

Lipkowie ukłękli z piłą i dalejże słupek ścinać, jak sosnę w lesie!

Grzybicha i sołtysicha szurnęły do rzeki ławkę nadbrzeżną.

Tego było za wiele - wyskoczyłem przez okno na podwórze. I co ujrzałem?...

Ujrzałem Grzyba włączającego po drabinie na dach... wlaź Grzyb i eternit jął dziabnąć motyką, zrywać płyty gorączkowo!

I na innych dachach pojawili się gospodarze: tak samo zdzierali eternit, wrywali stojaki elektryfikacyjne. Chłopcy rujnowali płoty, po podwórzach biegały baby ze snopkami, deskami, ceberkami.

Zachichotałem...

Zachichotałem głośniej...

Roześmiałem się w głos, śmiałem się, śmiałem, śmiałem - bijąc się pięściami w kolana, tupiąc piętami. Zechciało mi się łopotać skrzydłami i wołać „kukurykuuu!!!”

- Czego rżysz, idioto! - warknął sołtys rąbiąc siekierą molo, zajadle, krople potu jak grochy kapały po dewastowanych dechach.

- Czego? - chichotałem. - Śmieję się, bo świat zwariował!

- Nie, kochany... - wysapał, łupiąc molo, które budowaliśmy z takim zaangażowaniem i wysiłkiem. - Nie zwariował. Rzeczywistość cię przerosła... Na bok, nie przeszkadzaj: nowi jutro przyjeżdżają!

I przyjechali... Tak samo wychodzili z autokarów z walizkami, neseserkami, torbami sportowymi, znowu tacy sami: panowie w jasnych lekkich garniturach, panie w wydekoltowanych przewiewnych sukienkach, długonogie dziewczyny w krótkich spódniczkach, smukli chłopcy w obcisłych portkach.

Ale jakże odmiennie ich przywitano!

Siedziałem na ławeczce pod Grzybową chatą. Chichotałem patrząc na cyniczne widowisko. Z kogo chichotałem? Z gości... Z gospodarzy... Z siebie... Ze wszystkiego. Szyderstwo jest śmiechem tych, co przegrali.

Sołtys, bosy, w koszuli luźnej, wypuszczonej na portki, stanął przed gośćmi z chlebem i solą na białej szmatce. Pokłonił się nisko, pokornie:

- Witajcie nam tu z Bogiem, panowie mafistry, fizyki, urzędniki, doktory, kuśnieze, zygarmajstry! Dziękuję wam pienknie i mówim bógzapłać, że naszymi Wydmuchami nie pogardzili i pszytyndrali się tutaj do nasz w gości! - wygłosił z pamięci, mazurząc sowicie, tam gdzie trzeba i nie trzeba. - Wypocywajta, psiajuchi, hasajta, cha cha cha, i mocy nabierajta!

Oklaski były mu odpowiedzią, uśmiechy, rozgwar życzliwy. Ale już dwóch Grzybów

za łby się wzięło - baby rwetes podniosły: - O Jezusie, bijosie! - piszczały. - Ratunku, zabijosie! Krew, Jezu, krew!

To Jędrrek i Cesiek za orzydle się chwyciwszy, mociją się nieustępliwie, po chamsku, jak to na wsi. Goście krzyczą przerażeni, jedni uciekają, drudzy cisną się, by nic ze sporu nie uронić - a oni szarpiają się, stękają od razów, padają, wstają! Wreszcie Jędrrek charakterystycznym chłopskim ciosem w mordę wybija młodszemu dwa zęby, na ziem powala, bierze pod nogi!

- Bij! - krzyczą baby wydmuchowskie. - Zabij ! Na amen!

- Zabił! - trwożą się goście. - Rety, zabity!

- Nu to co, ze zabity? - bagatelizuje sołtys. - Toć oni bracia... żywemu więcej ojcowizny się dostanie! A tu, kochane ludzie, wczasowisko... wybaccie, ze takie ono biedne, ale my tutaj naród prosty, nieucony...

Goście patrzą, kiwiają głowami ze zrozumieniem... Oto na brzegu mokną wiejskie krypy. Baby przy brzegu piorą szmaty kijankami, popodwijają spódnice, odsłaniając białe uda. Biją kijankami i śpiewają coś ludowego. Gęsi pływają po rzece stadami. Przy brzegu krążą owieczki i krowy...

- Ładnie tu! - chwałą przybysze, szczęśliwi, rozmarzeni. - No, nareszcie kawałek prawdziwej przyrody...

- Prawdziwa wieś, nie tknięta trądem cywilizacji...

- Cisza i spokój...

Szklane ściany obili, oszuści, z zewnątrz i od wewnątrz dechami, budynek przypominał raczej szopę dziwną stodołę niż hotel! Muszlę nadwodną, rozmontowali, krąg taneczny przydewastowali siekierami, że niby od hołubców, część kajaków zatopili, część ukryli po stodołach.

- Tak, ludzie, będziecie spali na sianie bo u nas tapcanow ni ma - lgał sołtys bez zmrużenia oka. - U nas tu zwyczajnie, jak to na wiosce.

Wtem wypadł zza wydmy Zakała - z pola leciał: rozwarł ręce do witania, z daleka wyszczerzył się rzadkimi zębami w szczęśliwym okrzyku:

- Do mnie, ludziska! - woła. - Do mnie, o, tam zachodźcie! Do mnie!

Sołtys naskoczył na niego z pięściami.

- A pójdziesz! - warknął. - Won stąd, złodzieju !

Zakała odskoczył.

- Co? Ja złodziej? To wy złodzieje! Klientów moich zabieracie! Hej, ludzie! - zawołał.

- Do mnie chodźcie, ich porzućcie! Toć te chłopcy przebierane so! To osukańce!

- Co? Osukańce? - zaprzeczył natychmiast sołtys, jako że wczasowicze nastroszyli się czujnie. - Takie same my chłopcy jak i ty!

- Wy chłopcy? Wy pany! Pany! Ja chłop, ręce mam całe w mazołach. O, jakie carne! - uniósł

Zakała swoje łapy.

- A moje nie carne ? - machnął dłońmi sołtys. - Tyz carne! O, patrzajcie, panowie! Spracowane chłopskie ręce!

- Gównno, nie spracowane! - odkrzyknął ordynarnie Zakała. - Od pimpąga spracowane? To faryzeuse - oni tu wszystkie cytać umiejo!

- Co, kto? - grał sołtys. - Ja cytać? - wyszarpnął wczasowiczowi gazetę: - Jej Bohu, o, patrzę

i nic nie pojmuje, co tu napisane! Ani be, ani me! Ja - cytać...

Kto wie, czy nie do demaskacji doprowadziłaby ta kłótnia, gdyby nie Grzyb Maciej: złapał brata pod boki, powalił na ziemię i niby okładając go pięściami, coś szepnął... od razu bronić się przestał Błażej, udobniczał. - Trzeba tak było ze mno od razu - rzekł, otrzepując się z piachu. - Nu pewnie, la wszystkich tego mrowia starcy...

A przybysze już wokół Malwiny się stłoczyli, dziewczki Inianowłosej a cycatej.

- Kwiaty! - woła Malwina, nad koszem z bukietami i wiązkami. - Dzikie kwiaty, polne i łąkowe, nase, wydmuchowskie, po złotemu, komu, komu, bo idę do domu!

Goście podziwiają, cmokają, oglądają, nie dowierzają.

- Piękne, przepiękne! Aż nie chce się wierzyć, że prawdziwe...

- Prawdziwe, prawdziwe. Ale jak śtucne! - zachwala Malwina. - Jak śtucne!

- A to? Co to? - pyta ktoś. - Fiołki?

- Fiołki!

- A to?

- To?... - Malwina zmieszała się. - Zawilce!

- E, zawilce ? - zwątpił brodac, chudy i smutny, o beznadziejnych oczach onanisty. - Przecież zawilce dawno już przekwitły...

- Nase kwitno tera! - broni się Malwina.

- A to? - pyta melancholik.

- Golgony!

- A to?

- Ziebutki! A to mandrony! - improwizuje Malwina bez zmrużenia oka. - Korelatki! Perswazje! Kurejki! Cepelie! Zapadki!

- Zapadki? - przystopował dziewczynę melancholik onanista. - A przed chwilą mówiłaś, że mandrony?

Malwina nie dała się zjeść w kaszy.

- A tak! - odparła. - Bo u nas jedno mówio na to zapadki, a drugie mówio mandrony!

A tu już Maciej w maciejówce nadciąga, ze scyzorykiem i drewnem lipowym w rękę. A nogą powłóczy, a gębę rozdziawia, prostaczka rżnie, artystę polnego.

- Same Frasobliwe! - ogłasza. - Cały święty za jedno sto złotych. Do mnie krześcijany, do mnie!

A jakże, już go wianuszkami otaczają, do koszyka sięgają, figurki macają, a cmokają, a przeżywają.

- Ileż to ma wyrazu!

- A jakie proste!

- Ech, ludowy artysta! Taki to szczęśliwy!

- Pasie sobie krowy i dłubie pod wierzbą rosochatą! Czy nie tak, człowieku? Was nie obchodzi style, mody?

- A juści - stary na to. - Aby na chwałę boże!

- Ale one jeden w drugiego... - zwrócił uwagę melancholik. - Jota w jotę... Jak spod strychnulca...

- No nie? - ucieszył się ojciec. - Jak chwabryczne, prawda?

- A to nie wiecie, że każdy powinien być inny?

- Jak to inny? Jednakże so! Bo ja ręce mam złote!

Melancholik rozjaśnił się, uwierzył.

- Tak, panowie, to autentyczny rzeźbiarz ludowy! Prymitywny jak stołowa noga! Hej, człowieku! - sprawdził na wszelki wypadek. - To wy naprawdę nie wiecie, co to konwencja?

- Konwencja? - zbaraniał Maciej. - U nas gada się konewka... Konew... Konwencja to musi być duża, stulitrowa?

- Cha cha cha! - śmieją się. - Stulitrowa!

- Stulitrowa konwencja...

- Kapitalny...

- Macie tu, człeku, sto złotych za świątka. Ale cóż sto złotych wobec takiego dzieła... symbol za ledwie...

- Nu to masz tu drugiego jesuska - Grzyb na to - i daj jeszcze symbola...

Nie wiadomo kiedy mnie otoczyli. W oczy zagląдают, trącają palcami, zadają idiotyczne swoje pytania. Nie odzywałem się - cóż mogłem mieć do powiedzenia w tym

targowisku obłudy ja, człowiek uczciwy?

- Kto to? - szwargoczą babsztyle, pozerki, snoby, pseudointelektualiści, pseudoludzie.

- Dlaczego on taki oberwany? Brudny? Czemu nie ogolony? Co za nieszczęście go dotknęło...

- To pomyłony! - ogłasza sołtys. - Ni to święty, ni ucony. Po nasemu - nawiedzony!

- Ach, nawiedzony...

- Może prorok?

Ktoś wepchnął mi w rękę monetę. Jakies dziewczę dało cukierka. Facet podetknął mi pod nos mikrofon, prosi, żebym co powiedział dla radia. Albo zaśpiewał. Najlepiej coś mistycznego!

- Zmiłujcie się... Ja nic nie winien... Ja nic nie wiem... - wymamrotałem, spokoju chciałem, tylko świętego spokoju...

Melancholik okulary założywszy wypatrzył za rzeką coś niepokojącego.

- Hej, ludzie! Co to? - zawołał zgorszony. - Słup? Słup elektryczny! To wy elektryczność macie?!

- A tak - machnął ręką sołtys. - Wpychali się tu do nas z tom elektrykom, a tfu... Siło zrobili!

Ale jak tylko pojechali, to my zara szast! prast! poobrywalim te ichnie droty i fazy!

- Bo ta elektryka na zdrowie skodzi! - wtrąciła Grzybicha. - Suchoty od tego!

- I kołtun! - dorzuciła sołtysicha.

- Tak, tak - pokiwali z troską głowami chłopci. - I jaglica! I krzywica! I świerz!b!

Oszukiwali gości aż się kurzyło. A ci, oczarowani prostotą ostatniej zacofanej wsi w kraju, rozleźli się po ośrodku i okolicy. Jedni opalali się na piasku, inni brodzili po rzece z kłótniami i wiecierzami. Kłusownictwa wolnego zażywali. Wielu poszło z kobiałkami do lasu. Młodzi rozpalili ognisko i tańczyli wokół dymu, skakali przez płomień. Kobiety włóczyły się po pastwisku, zaczepiały zwierzęta. Mężczyźni golili samogon z Lipkami.

Sołtys z Maciejem podeszli do mnie. Popatrzyli, pokiwali głowami.

- A może byś się włączył, Marian? - spytał Maciej troskliwie.

- Zostawcie mnie w spokoju, oszuści! - parsknąłem nienawistnie.

- Oszuści? Oho, pocziwiec... - mruknął sołtys. - Zapomniałeś, jak namawialiśmy do elektryki?

- A nie mówiłeś to do mnie „panie Grzyb”? - przypomniał ojciec.

- Odczepcie się... - poprosiłem. - Chcę żyć w spokoju...

- A kto to wszystko zaczął, a? - przyparł sołtys. - Rozkręciłeś... A jak się wszystko skomplikowało, chcesz umyć rączki, bratku?

- Świat skomplikowałeś, a ludzie, chciałbyś, żeby się nie skomplikowali? - dorzucił ojciec. - Opanuj się, Marian. Mamy dla ciebie świetną rolę. Hej, Malwka! - zawołał dziewczynę. - A cho-no-tu!

A gdy przysła z koszem kwiatów, wyjawili jej swój plan: postanowili oto fundnąć tym frajerom ludowe wesele. Ale nie darmo. Zapłaciliby goście składkowe.

- Wyjdz za niego! - rzekł ojciec, mnie wskazując głową.

Malwina wzruszyła ramionami.

- Po co? Czy to nie mogę żyć z nim bez ślubu? Ślub nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

- Oho, skoro się tak wzbranasz, widać ma. Właśnie ślubując wykazałabyś, że ta formalność jest dla ciebie niczym - rzekł sołtys.

- Jeśli tak bardzo wam na tym zależy, mogę...

- Ale ja się nie zgadzam! - zawołałem oburzony. - Nie zgadzam się...

- O! A dlaczego?

- Bo to oszustwo!

- No to co, że oszustwo? - zaśmiał się sołtys.

- A to, że człowiek, który oszukuje, nie może być szczęśliwy!

- Ech, magister, magister - westchnął sołtys. - Szkoda czasu na gadanie, wynik i tak przesądzony. Czyż nie jesteśmy ludźmi inteligentnymi?

- To co, że jesteśmy?

- A to, że człowiek inteligentny to taki, który umie uzasadnić wszystko.

- Nawet świństwa?!

- Zwłaszcza - zaśmiał się sołtys. A Grzyb dodał refleksyjnie:

- I stąd może taki pęd do oświaty...

- O, nie, cwaniacy, nie wmówicie mi, że czarne to białe!

- Białe, czarne, co za różnica... - machnął ojciec ręką, zrezygnowany. - Konwencja to wszystko, Marian... Cha cha cha - stulitrowa konwencja...

- No więc jak? - spytał mnie sołtys rzeczowo.

Płakać mi się chciało z bezsilności.

- Czuję się tak... - powiedziałem - jakbym zasadził las... I drzewa mnie przerosły... I teraz stoję w lesie zbłąkany, i nie wiem, w którą stronę iść...

- Z nami chodź - doradziła Malwina przyjaźnie. - Z żywymi ludźmi...

- Zrobimy weselisko, że hej! - ucieszył się sołtys. - Chłopskie, ludowe. Ba, arcyłudowe!

Grzyb miał mniej entuzjazmu.

- Hm... Ludowe ma ono być, ale czy kto pamięta, jak to idzie? - rzekł zakłopotany. -
Co się śpiewa? Co gada? Co tańczy?

Zamilkli. Zastanawiali się.

- Są tam jakieś rozplećmy... I zdaje się oczepiny - wyteżyła pamięć Malwina. - I
pokładziny,
czy coś w tym rodzaju. Widziałam w telewizji...

- Rozpleciny, oczepiny... - powtórzył Grzyb, kręcąc głową. - To nazwy tylko. Co pod
tymi nazwami - oto problem.

- Rzeczywiście, problem - potwierdził sołtys. - Cholera, wywietrzało wszystko... Nic a
nic nie pamiętam.

- Już z kwiatami miałam trudności - przyznała się Malwina. - Nie pamiętam, jak się
nazywają...

- Kwiaty? - Sołtys wyglądał na zaskoczonego. - Nie, Malwina, tego nie można
zapomnieć... Przecież...

Ale Malwina wyjęła z kosza jakiś niebieski kwiat z drobnymi płateczkami i,
uśmiechając się, spytała, co to.

Nie wiedzieli. Obejrżeli, powzruszali ramionami. I nic.

- Zapytajmy żonę - rzekł Grzyb. - Ona tak kocha kwiaty. Hej, Jancia! A cho-no-tu
babo! -

krzyknął ordynarnie, bo wczasowicze wołanie słyszeli.

Przyszła Grzybicha, stanęła nad kwiatami. Powiedzieli, o co chodzi.

- Jak się nazywają? - Uśmiechnęła się pewna siebie, wzięła kwiat w rękę, pogłaskała. -
Ten na przykład...

Zawahala się.

- Hm, taki niebieski... Chaber?... Czy bławatek?...

- Może fiołek? - pomogła Malwina.

- Nie, to za duże na fiołka... Niezapominajka też mniejsza... Co to jest?...

Malwina wyjęła z kosza inny kwiat, o zielonej grubej łodydze, żółtych kwiatuśkach.

- Czy to nie dziewanna? - spytała.

Grzybicha wzruszyła bezradnie ramionami.

- No, przypomnij sobie! - nacisnął Grzyb. - Czyżbyś przestała kochać kwiaty?

- Kocham, kocham... - wyznała Grzybicha. - Może to podróznik?

We czworo skupili się nad rośliną. Zmarszczyli brwi, wyteżali pamięć.

- Może rumianek? - zastanawiali się.

- A czy nie suchotnik?

- Może stokrotka?

- Nasięzrzał?

- Storczyk?

- Dzięcielina?...

Grzybicha opuściła ręce bezradnie.

- Wiem na pewno, że nie róża. Różę dostałam od Macieja na imieniny. Była czerwona i większa.

- A nie można dojść po zapachu? - doradził sołtys.

- Właśnie! - ucieszyła się Malwina. Powąchała. - Pachnie czymś znanym - stwierdziła.

Grzyb powąchał.

- Tak, bardzo znanym... - przytaknął. - Ale czym?...

Grzybicha powąchała.

- Szprotami! - orzekła.

Sołtys powąchał.

- W oleju! - ustalił ostatecznie. - Po sześć pięćdziesiąt puszka.

Malwina włożyła nieszczęsną roślinę między inne zapomniane kwiaty.

- No i co z tym weselem? - spytała. Milczeli, zafrasowani nauczka.

Aż Grzyb znalazł wyjście z impasu.

- Sięgnijemy do źródeł naukowych - rzekł. - Jest Kolberg w bibliotekach, są nury, płyty. Postudiujemy, poćwiczmy. I zrobimy takie wesele, że let nikom oczy na wierzch powyłożą!

- A może... - wtrąciła Grzybicha. - Może zapytać Zakalichę? Ona taka staroświecka, zacofana... powinna jeszcze pamiętać dawne czasy... Grzyb skrzywił się.

- A jeśli pamięta? To co pamięta? Te prawdziwe nasze wesela - bidne, skąpe, z nożami, pijakami. A my chcemy telewizję zaprosić, rozumiesz? Wesele musi być prima sort!

- I będzie! - oświadczył sołtys.

O, sztywne ono było, to nasze wesele, zobaczyli wczasowicze obrzęd jurny i prząsny! Gdyśmy do ślubu odjeżdżali, Malwina padła do nóg ojca i zawyła rozdierająco, łzami chlusnęła - pstryknęły fotoaparaty, magnetofony, zaterkotała kamera, dziewczęta zapisały pieśń o gościńcu, baby o weselu, że jedzie, kapusta kiśnie, młody dla młodej za

cycki ciśnie... Lidka, starsza drużna, sypnęła po publice weselnymi gąskami - jak kury rzucili się, każdy chciał wyłowić coś z piachu na pamiątkę. Furmani strzelili z batów i ruszyliśmy - z orkiestrą i śpiewami. Wprawdzie fur i koni starczyło za ledwie dla młodej pary, dziewosłębów i starszego družby z drużną i musieliśmy u Wyprostka - „tego ancykrysta, co jeden w naszej wiosce obyczajnie nie sanuje i okolice maszynami smrodzi” - pożyczyć traktor z przyczepą, ale dzięki temu wczasowicze zobaczyli całą ceremonię zaślubin. A jakże, ślub odbyliśmy z organami i świecami, ksiądz mszę odprawił, a podczas podniesienia to tak zadudniliśmy kułakami w piersi, że aż musiał się ornatem zasłonić, żeby letnicy uśmiechu nie zobaczyli. Duszpasterz młody był i nowoczesny - kazanie wypalił o piekle, niebie, Panience Przenajśodszej i Panu Bogu Wszechmogącym, stylowo sadził, oczy mu rozbłysły wiarą, nadzieją i miłością, zapłakaliśmy z Malwiną, wczasowiczom się udzieliło, też załkali - ksiądz do mnie oko puścił, skończył, dyskretnie zainkasował, pojechaliśmy. Konie wódką w czasie mszy, jak obyczaj nakazuje, podpojone, rwały do domu na wyścigi, kopyta zadzierając po junacku, Wyprostek cały czas na dązał za nami na trzecim biegu... Pod chatą ociec i matula, siermiężni, czekali z chlebem i solą - ja Malwinę w welonach i mirtach z fury zniosłem - pobłogosławili - przez próg przeniosłem. Ale biesiadę wyprawiliśmy pod niebem, na podwórzu okolonym zielonymi brzoźkami. Toż to było radości i pijatyki, za stołami uginającymi się od ludowego jadła i napitku! Wczasowicze rozpltywali się ze szczęścia, hej, precz kulturo, niech żyją wakacje, urlop od cywilizacji, konwenansów i manier! Miech o, żur, kapustę palcami żreć, przypijać samogonem z jednej szklanki, pieśni starodawne ryczeć, kawały słone sypać, za kolana, za cycki łapać!

- Gorzkiee! - zawołał Zbycho, starszy družba. - Gorzka wódka! - i cały akt weselny podchwycił z zapałem: - Gorz-ka-wód-ka! Gorz-ka-wód--ka!... - ja Malwinę obłapiłem, ale oho, nie od razu do gęby przypuściła... mężczyznom oczy chucią rozbłysły. Aż zapłoniwszy się cudnie, o, do perfekcji opanowała układ sympatyczny, w jagody pocałować się dała!

Entuzjazm ogarnął weselników, bratać się zaczęli wiejscy z miejskimi, o sojuszu bredzić, pić, przepijać dubeltowo. - Tańczyć! Tańczyć! - zawołano i orkiestra chwyciła za instrumenty: Ryś Nasiadko na harmonii zaciął, Janko Muzykant na skrzypce, Cybulko i Pogorzelać w bębny bili! Na dechach tańcowaliśmy, pod gołym niebem, sołtys rej wiódł: a to kółeczko nakazywał, to panienki do śródecka, panienki w lewo, kawalerowie w prawo, panienki rzucają chustecki w górę, kawalerowie łapią najślicniej haftowane... i tak dalej. Zakała podpiał, wyśpiewywał, tańcował oberki jak młodzik, wczasowiczki podszczypywał, do wczasowiczów przepijał, a oni, szczęśliwi, kręcili, przytupywali, ściskali, obmacywali się, a nawet dla zasady za łby się brali. Mężczyźni Malwinę rozrywali, każdy przecie chciał obłapić

z raz młodzieńcu. Ja - wiejskiego byczka, chwata, osiłka grałem, wszystkie wczasowiczki musiałem obtańcować, poobłapiać, zwymacać... Wokół desek starsi stali, przypijali już prosto z butelek, Grzyb ledwo stał na nogach, ślaniał się.

Podszedłem. Do melancholika przypijał, jemu też się z czupryny kurzyło.

- Powiem ci coś, Zbyszek... - bełkotał przypijając. - Ale w tajemnicy! Nikomu ani mru-mru!

Kiepsko ze mną... Kiepsko... Mam coraz wyższą stopę. Kiełbasę żrę. Faulknera czytam. Ale czuję się podle. Załgany jestem...

- Cha cha cha! Wy, Macieju, Faulknera? - zaśmiał się melancholik.

- O czym wy, tatko, bredzicie! - upomniałem starego. - O krowach gadajcie! Pogodzie! Urodzaju...

- Załgany! - uparł się Grzyb. - Powiem ci, Zbyszek... ale w tajemnicy! Nie ma już wsi. Prawdziwej wsi. Nie ma. Wszędzie miasto. To załgane nowoczesne miasto. Wioska też miasto. Gorsze miasto, ale miasto!

- Spać, tatko! - rozkazałem i wziąłem pod pachy. Ale szarpnął się, wyrwał mi z rąk... Pociągnął długi nokautujący łyk i cisnął pustą flachą o drzewo.

- Jezu... - jęknął, w sztok pijany. - Ja już nie wiem, kiedy gram, a kiedy nie. Przedrzeźniam -
ale kogo? - I nagle tryknął głową w drzewo. - Jezu, kto ja? Kto ja, ludzie! - zawył na całą okolicę.

Ale już sołtys nadbiegł, we trójkę opanowaliśmy jakoś desperata. Chwyciwszy pod pachy wlekliśmy do domu.

Ot, schlał się! - tłumaczył sołtys zaniepokojonym letnikom. - I daj głupiemu wódki...

- Ludzie, kto ja? - rozpaczał Grzyb, szamocząc się z nami, kopiąc. - Kto? Prostack czy mózgowiec? Ludzie! Poczciwiec czy świnia...

- Nic to, nic... - uspokajał sołtys publikę. - Ot, bredzi po pijanemu. Ale wyśpi się, wytrzeźwieje i jutro znowu będzie do rzeczy.

Zawłókłszy Grzyba do chaty, rzuciwszy na łóżko, wróciliśmy na dechy, aby zatrzeć niemiłe wrażenie po incydencie. Z dubeltową ludowością i wigorem ruszyłem w tany. I tańczyłem, tańczyłem, dysząc ostatkiem sił, przytupując miękkimi nogami.

Tak do zachodu. A gdy słońce zaszło, pozostawiwszy na chmuikach różowe odbłaski, gdy na wschodzie wysunął się zza lasu księżyc - wielki, czerwony - zatańczyłem z Malwiną kujawiaka i w ludowych posuwach powiedziałem, że już dłużej tego nie wytrzymam i że chciałbym choć na chwilę odpocząć od tej maskarady. Wymknęliśmy się więc z tanecznego

kręgu, byłem pewien, że sami... czyż mogłem wiedzieć, że sołtys skinął ręką na kilkoro ciekawskich? Zmierzchało. Szliśmy z Malwiną przez wydłużoną, ścieżką w las.

- Czy cię nie mierzi to wszystko? - spytałem.

- Co?

- To udawanie!

- Oj, Marian, Marian... - westchnęła. - Nie bądź taki serio... Przecież oni też udają.

- Kto?

- Wczasowicze. Udają, że nie wiedzą, że my udajemy...

- Więc wiedzą? - Zbaraniałem. - No to po co to wszystko? Po co!

- Jak to po co? - westchnęła. - Coś trzeba zrobić...

Przestawałem rozumieć... wszystko wirowało... Te drzewa o smukłych białych pniach... jak się nazywają? Już i one wymykały się pamięci...

- Może brzozy? - powiedziała Malwina. - Pamiętam z filmów, mają taką białą korę...

- Brzozy?

O Boże, brzozy! Biała kora... słodki sok... zielone gałęzie... Boże, jaki ja kiedyś byłem szczęśliwy!

- Malwino! - zacząłem głosem drżącym od tęsknoty. I nadziei. - Malwino... Maskarada maskaradą - ale ty i ja... Kiedy jesteśmy sami, to wydaje mi się, że przecież można... Że moglibyśmy... ty i ja... Szczerze... Że jakoś...

Położyła mi rękę na ustach - obejrzała się czujnie. Coś w mroku szeleściło za nami.

- Oj, cha cha cha cha cha! - roześmiała się na cały las i niespodziewanie złapała mnie w pół... podcięła nogi, obaliliśmy się w trawę. - Oj, widzicie go, psiajuche, jaki nacepny! - rozwrzeszczała się. - O jesusicku, scypie, o matkoboska, majtki mi zbereźnik drze! Jedwabne ślubne majtki!

Nawaliłem się na nią nachalnie, welony i kiecki zadzierając przepisowo, jak praojce. Nad nami stali letnicy.

- Oj, udusis! - darła się Malwina. - Ooo! O, jesusicku! O, Jezus... Oj, zamordujes ty me, chrancuzie... Oj...

Ze czworo ich było, czarnych sylwetek. O witalności gadali.

- Parzą się! No patrzcie, parzą się! - podziwiali.

- Na gołej ziemi!

- Ech, pieprzny ten ludek przedindustrialny...

- Ogień w żyłach!

- Są jeszcze na świecie ludzie szczęśliwi!

- Autentyczni...

- A mnie... - poznałem głos melancholika onanisty. - A mnie coś się widzi, że oni udają...

- Coś ty? Udają?

- A o którym udawaniu mówisz? O tym dla nas czy między nimi?

- E, nie udają... Patrz, jacy żywiołowi...

- Spontaniczni!

- Kiedy ta ich spontaniczność jakaś taka...

- Może zmęczeni?

- Któż dziś nie jest zmęczony?

- No, chodźmy...

Głosy cichły. Malwina leżała z odchylną daleko głową, rozwartymi oczyma patrzyła poza siebie, na księżyc czerwieniejący za drzewami o smukłych białych pniach. Wyglądała na znużoną, ale - szczęśliwą. Grała?

- Poszli, Malwino - powiedziałem. - I co teraz?

- Wracajmy - odpowiedziała. - Tańcować. Dźwignęliśmy się. Księżyc płonął. Gołym okiem widać było na nim pasy leśne i rowy nawadniające.